



DANIEL ANGE
Zraniony Pasterz

Wydawnictwo M *Kraków* 2002
ISBN: 83-85541-48-9
format: 110x190, stron: 143, oprawa: miękka
[WDM0119B00541]

do nabycia w księgarniach internetowych

Wstęp

Jeśli jesteś niczym dla innych,
Niczym dla siebie samego,
Jeśli Twoje życie to pustka ?
błąkanie się wśród upadków i przepaści,
to książka ta jest dla ciebie.
Mówi ona tylko jedno:
Jest ktoś, kto cię kocha.
Nawet jeśli o tym nie wiesz.
Daj się odnaleźć Jedynemu,
Który cię nigdy nie zostawi samego!

Aby ODCZYTAĆ TĘ NIEWIELKĄ KSIĄŻKĘ nie przerzucaj kartek, tak jakby to była powieść.

Nie uciekaj w nią jak w fikcyjną przygodę, należącą jedynie do literatury.

Książka ta nie jest ani jednym, ani drugim. Przedstawione są w niej prawdziwe rzeczywistości, na dwóch nieustannie przenikających się płaszczyznach życia.

I. RZECZYWISTOŚĆ POSTRZEGALNA ŻYCIA CODZIENNEGO - rzeczywistość opisana w całej swej obiektywnej nagości, zgodnie z faktami widzianymi, zasłyszanymi, przeżyтыми. Nie są one ani naciągane, ani wyolbrzymione, ani też zafałszowane. Bohater tej książki osadzonej w kulturze Zachodu połowy lat osiemdziesiątych, choć sam jako taki nie istniał, dzieli się z nami tym, co setki młodych ludzi, prawdziwie żyjących,

rzeczywistych, napisało mi, powierzyło, opowiedziało z własnego życia. Każda strona czy zdarzenie mogłyby być podpisane, poświadczane, przez Ewę, Ankę, Krzysztofa, Marka i tylu innych... Zmienione są tylko nazwy miejsc i osób.

2. RZECZYWISTOŚĆ ŻYCIA DUCHOWEGO - nie mniej codzienna i aktualna - oddana w pewnej mierze językiem poezji, który jako jedyny jest w stanie wyrazić nadprzyrodzoną rzeczywistość. Ale także tutaj wszystko oparte Jest na doświadczeniu przeżywanym przez wielu wczoraj, dziś jeszcze i jutro - być może na twoim doświadczeniu.

W grę wchodzi autentyczne i wieczne rzeczywistości - jedyna, których przestrzeń nie ogranicza, czas nie dewaluje i które nie więdną wskutek przyzwyczajenia. Pozostają i pozostaną na zawsze. One SA.

Przemieniają rzeczywistość życia codziennego, nadając jej sens i transcendencję. Niewidzialne dla oczu ciała, jednak postrzegalne w całym swym realizmie poprzez konkretne świadectwa przemienionego życia, przemienionego istotnie, namacalnie dzięki nowemu światłu. Niczym fale radiowe, których nie można ani zobaczyć, ani dotknąć, ani usłyszeć, o ile nie zostaną przechwycone przez jakiś odbiornik. Tutaj trzeba się odwołać do oczu serca, które odnajdują to, co niewidzialne: najistotniejszy wymiar każdego człowieczego życia, które nie chce być rośliną poniżej ludzkiego stadium rozwoju. Na tym poziomie nie ma ?haju?, ?zgrzyw?, ? lipy?: jest zakorzenianie się w najbardziej rzeczywistych rzeczywistościach.

Doświadczenie duchowe jest jak atmosfera: nie widzisz jej, lecz gdyby nie ona, co byś zobaczył? Udusiłbyś się.

Materia i duch. Ciało i dusza. Widzialne i niewidzialne. Ziemia i Niebo... To nie dwa światy zestawione ze sobą lub przeciwstawne sobie, ocierające się o siebie lub wykluczające się. TO DWIE RZECZYWISTOŚCI TEGO SAMEGO ŚWIATA, tak jak twoje ciało i twoje serce: nie dwie rozdzielone i walczące ze sobą osoby, lecz dwie nierozłączne części ciebie samego. Nie jak strony lewa i prawa, lecz jedno wewnątrz drugiego. Życie wewnętrzne jest wnętrzem życia.

Tak więc ta mała książka chce po prostu otworzyć Cię na Spojrzenie, którego światło sprawi, że Twoje życie stanie się Życiem. Twoje istnienie nabierze sensu, stanie się obecnością, żarem, będzie siłą nadzieję.

Żarnowie, 1 stycznia,

pierwsza w nocy

Cześć stary!

Pozwól, że opowiem ci, teraz, gdy rodzi się kolejny nowy rok, co się stało w moim życiu, od naszego ostatniego spotkania. Niesamowite rzeczy! Gdybyś mnie zobaczył, nie poznał byś mnie. Zero, za które się uważałem, zaczyna od zera: start zupełnie nowego życia! Wybacz, że nie będę się streszczać, w tej historii liczy się każdy szczegół.

Tydzień temu chodziłem parę godzin w ulewnym deszczu. Było to akurat w wigilię Bożego Narodzenia. Przemoknięty do suchej nitki, dotarłem o zmroku do Zgliszcz. Zabiegani przechodnie wracali do siebie z rękoma pełnymi prezentów. Dla mnie żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu! Pobiegłem na pocztę, była jeszcze otwarta. Sylwia! Jak bardzo mi jej brakowało! Zostawiłem adres na poste-restante. Czy napisała?... Czy o mnie zapomniała? Uff! list! To od niej! Przeczytam go w spokojnej chwili.

Tymczasem, co począć z oczekującą mnie długą nocą? Mowa! Najdłuższą w roku! I pomyśleć, że kiedy byłem mały, marzyłem, żeby się nigdy nie skończyła... Co począć tej nocy z ?moją? nocą? Gdzie zabić czas? A może by tak jakiś niezły filmik? Superprzygoda, by na dwie godziny uciec od złej przygody!

Miłość na umór... Miłość na ziemi... Demon... Uee! Ten demon na całą szerokość plakatu! Co za wstrętna morda.. .Fascynujący! Kina nic innego nie reklamują! Trzy sale, trzy filmy. Ani jeden nie rozpali moich złudzeń.

A jednak! Mad Max, krwawy obrońca, mierzy w ciebie z palcem na cynglu. Podpis: ?Gdy przemoc zawładnie światem, módlcie się, by był z wami!? Co to za jeden? Trochę dalej (wymiar panoramiczny): brzuch, ręka! Pod spodem: ?Zdrowaś Mario?... Ot tak, na środku chodnika! Dziwne! Moja matka też ma na imię Maria. Kiedyś byłem w niej, o, tak jak tutaj... a teraz?...

Trzy kroki dalej hałaśliwy rechot paru facetów z pobliskiej kawiarni-baru-sali gier-nocnego lokalu. Wszystko znajdziesz u ?Baltazara?! Tu przynajmniej nie będę sam. Za progiem kłęby dymu, wyziewy napojów, decybele do dechy witają mnie serdecznie. Przy ladzie chłopcy w czarnej skórze, włosy na punka, zaliczają kolejki piwa. Żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu. Tak jakbym już ich znał, ich, ten lokal i.. .reguły gry. Wszystkie bary świata czy to nie trochę mój dom? Uwaga, mają na mnie oko. Nie szkodzi, dzisiaj nie mam ochoty nikogo odgrywać. Chociaż raz nikogo nie zaszokuję.

?Wesołych Świąt? życzy mi tradycyjnie z głębi sali lustro, nagryzmołonymi na tę okazję białymi literami. Na zielonych roślinach - sto procent plastiku - trzy niebieskie girlandy. Przypominają mi one... tak, pewną choinkę, ubieraną z radością... świeczki, obecność... a może czekają na mnie tego wieczoru? Gdyby mnie zobaczyli, czy poznaliby

mnie? Czy by mnie przyjęli? To już dwa lata, jak zwałem! nie, nie myśleć o tym! To było wczoraj, albo przedwczoraj!

Przemykam się wąskim korytarzem. Przedemną około trzydziestu migocząco-buczających gier. Metaliczne, syntetyczne, "komputerowe" wycia: "Ten świat jest twój, będziesz jak król!" Żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu. Każdy sam, wczepiony w ster, przyciski, ekran. Zagubiony w niedostępnym dla drugiego świecie. Przechodzę za nimi. Nawet nie czują mojej obecności. Czy istnieję? szybko, zwać! Co wybrać?

Rzucam się na wolny flipper. Po dobrej chwili podnosząc oczy spostrzegam swego partnera, zielonego diabła - na metalowym obiciu ogromna mordą, fosforyzujące oczy. Ten sam co na afiszu kina... Zaprasza mnie? Oto jesteśmy twarzą w twarz. Flipper "Devil's dare" wykrzywia się w szyderczym grymasie. Nie mam ochoty mu odpowiadać... Chcę jechać dalej. O, na przykład gra video... Choćby ta: jestem pół-robotem i mam unicestwić upiory. Wszystko w wystroju cementarza, wokół krzyże... Jakiś gość, szybszy ode mnie, wpycha mi się przed nosem. Żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu. Należę już do wystroju...

Odbijam sobie na drugim. Cel: siedzę za kierownicą superwozu i mam rozjechać jak najwięcej pieszych. Wreszcie mnie wciąga... Wreszcie wychodzę ze stresu. Przy każdym trafionym przechodniu zabawny sygnał skanduje mój triumf. W tle ryk grającej szafy: "I kill children?". W myślach tłumaczę przekaz: "Bóg kazał mi obedrzeć cię żywcem ze skóry. Zabijam dzieci, lubię patrzeć, jak umierają. Lubię patrzeć, jak umierają. Zabijam dzieci, a wtedy matki płaczą. Rozjeżdżam je moim wozem...?"

Przyśpieszam. Jestem u kresu... "Chcę słyszeć, jak krzyczą!" Już osiemdziesiąt siedem rozjechanych. Muszę mieć sto, za każdą cenę... "Chcę dać im do jedzenia zatrute cukierki...?"

Raptem, na ekranie czyjeś odbicie... Kto to? Tuż za mną? Odwracam się. Patrzy na mnie w milczeniu, uśmiecha się. Na twarzy pewne zdziwienie, smutek... zdaje się mówić: "Po co zabijać dziecko, którym jesteś?" Panikuję. Co mu strzeliło do głowy, żeby tak na mnie patrzeć? W dodatku przez niego straciłem grę!

Nie znając karate, pozbywam się go jednym uderzeniem pięści, tak gwałtownym, że sam jestem zdziwiony: "Spływaj!" Uderza czołem o stojący obok flipper. Nie mówi nic, odchodzi. Nikt się nie odwraca. Żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu.

Podrzucam parę monet, które mi jeszcze zostały. Nie chcę już tej forszy. Pali mi kieszenie. Dostałem ją od faceta, któremu się sprzedałem na parę nocy... Obrzydzenie - zapomnienie! zapomnienie!

Papieroska... trzymać fason! Kogo rozśmieszyć? Przed kim zaszpanować? Kogo zaszokować?... lub przywieść do płaczu? Rzut oka na

siedzące przy stoliku dwie dziewczyny, popijające zielony sok... woda z miętą? Nie, to nie ten styl, raczej ?Get?... ?Get 27 to piekło?. Rozmawiają gestykując szeroko, gra bransoletek, rozrzuconych kosmyków...

Oczka i śmiechy w stronę bufetu... Czy chłopak chwilowych marzeń na nie odpowie? Chichoczą... Jedna z nich zaczepia mnie. Po co sam na nią spojrzałem? Wzrok mętny, prowokujący uśmiech. Nie! Twarz Sylwii uśmiecha się do mnie w pamięci. Mała nalega. Robi się gorąco! Wybiegam na dwór, zapadam w ciemności nocy. Ulewa. Spieszący się ludzie. Żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu.

Kaskada dzwonów. Nie do zniesienia! Każde uderzenie uderza w serce. Wołanie - przywołanie, przywołanie - wołanie. Jakby chciały obudzić uśpione we mnie dziecko. Obudzić je. Zachwycić...

Dlaczego powraca nagle piosenka, ułożona w czasach, gdy przymierzałem się do postaci ?poety??

Wzrok zranionego dziecka,
Wzrok szklany, który nie zna
Żaru tańca i ognia,
Tylko gorycz i znudzenie,
Niewinności, zgubiłem ciebie!

Utopiłem cię, niewinności, utopiłem,
W głębi wnętrzości moich,
zadałem ci śmierć.

Wzrok widzący zbyt jasno,
Miłość, która wymaga za wiele,
Chciałeś, bym wydał swe ciało.

Niewinności, upadłem,
jak dziecko osuwa się i krzyczy.
Zabrakło kojącej
Goryczy łez.

Ból przywalonego ziemią
Zrównanej góry,
Szał krąży i nęka,
serce rozdarte już nie śmie.

Niewinności kiedy, kiedy nareszcie
odzyskam ciebie?

Niewinność? A przecież tamtego wieczoru jeszcze mi trochę niewinności pozostało. Muszę przyznać, że od tamtej pory wziąłem ją w

obroty. Wszystkie środki były dobre, by stać się tym, kim chciałem. Za każdą cenę. Ot, różne doświadczenia... wszystko wiedzieć! Wszystko móc! I oto już nic nie wiedziałem... ani o sobie, ani o świecie. Rozwierała się otchłań. Ocierałem się o przepaści. Nosiłem je w sobie.

Dźwięk dzwonów w ciemnościach nocy, jeszcze i jeszcze... uciszyć je! Przy pasku mam walkmana, zakładam słuchawki: moja ulubiona kasetka Hell's bells: ?Jestem łoskotem gromu, rwącą ulewą. Przybywam jako huragan, moje błyskawice rozdzierają niebo. Jesteś młody, lecz umrzesz. Nie biorę jeńców. Nie daruję życia nikomu, nie napotkam sprzeciwu. Mam swoje dzwony, zaprowadzę cię do piekła. Dostanę ciebie! Piekielne dzwony, tak, dzwony piekła!?

Beat wybija mój krok. Jeszcze parę kilometrów i osuwam się na stok pagórka.

Siedzę z głową opartą na kolanach. Jak zasnąć, kiedy bierze górę strach? Przed chwilą udawanie, teraz dołowanie. Przebiegają mnie dreszcze, jak prąd elektryczny. Zdejmuję słuchawki. Dzwony ucichły. Nareszcie!

Żadnego odgłosu wśród nocy. Cisza ta jest nie do zniesienia. Krzyczę: ?Jakie jest moje imię??... ?Nie, nie, nie?... odpowiada skalne echo. Mój głos, bardziej rozdzierający niż kasetka: ?Życie jest złe!?... ?Wyśpiewaj je, wyśpiewaj je, wyśpiewaj je! ? Czy moim jedynym rozmówcą jest echo? Czy tylko ono słyszy moje wołanie? ?Sens mi daj!?... ?Raj, raj, raj!? Jakby chcąc zagłuszyć samego siebie, rzucam: ?Moje serce jest pełne złości!?... ?Miłości, miłości, miłości!?

Nie! Nie! Nie! Niemożliwe, to echo!. Wszystko przekręca, udaje poetę, kasetę, decybele. Żeby się zatrzymać, trzeba wiedzieć dlaczego. A ja nie wiem dla czego. ?Kiedy patrzę na Zachód, mój duch krzyczy, żeby odpłynąć...? Uff! Na szczęście krzyki Axela Maasa są pod ręką, by wypowiedzieć moje pragnienie: odpłynąć w dal i zobaczyć, czy mnie tam nie ma...

Dzień pierwszy - Zawieje

Godzina 6.45. Na prawym ramieniu czyjaś ręka. Podrywam się. W świetle pochodni jakaś postać: to on, znowu on! Jego usta poruszają się. Wciąż słyszę: „... Mój duch krzyczy, żeby odpłynąć...”

Nie! Nie! Nie chcę ani starzeć się, ani umierać. Ale tak jak on, uśmiechać się. Tak jak on, który wygląda tak młodo, tak bardzo młodo! Z każdym dniem młodszy. Młody na zawsze, na zawsze. Młody jak miłość. Młody jak dzień.

Walkman wciąż ryczy. Jego twarz uśmiecha się do mnie w ciszy. Uszy pełne agonialnego wycia. Jego oczy pełne promieni życia. Spojrzenie-przesłanie. Dzikie wołanie - zbliżenie dwóch planet. Rozdzielonych przez całe lata świetlne. Jak przebić mur dźwięku?

Małe pudełko wydziera się: „Pragnę, by Bóg zgiął kolana przed Szatanem. Tak, Szatan twym Panem!” Czy on też to słyszy? W tej chwili rozpościera ramiona. Nie wytrzymuję. Pękam. Rozdarty między dwoma światami.

Zrywam słuchawki. Przewody puszczaają. Odrzucam daleko aparat. Słyszę go! Słucham go! Noc okrywa ciszą Jego głos. Jego głos! Z brązu i aksamitu. Wart tyle co Wszystkie dzwony świata.

- Nareszcie!... Nareszcie!

Nie znajduje innych słów... Jakby biegi za mną bez ustanku od północy... a kto wie? może od bardzo dawna...

Zrywam się na równe nogi:

— Dlaczego, dlaczego mnie szukasz?

Wstaje dzień. Jak długie wstęgi, postrzępione chmury owijają się wokół szczytów. W jego oczach pełno gwiazd:

- Ależ wiało tej nocy!

Jest! Już wiem! Jak to się stało, że wczorajszego wieczoru nie rozpoznałem go? Czy moje oczy aż tak bardzo oślepiły od kalejdoskopu sali gier? A może to jego twarz tak zsiniała w bladawym świetle neonu „Baltazara”? To było rok temu! Cały rok!

Jechaliśmy do Maroka z paroma kumplami. Dotarliśmy do starego miasteczka, pijanego słońcem, Zawieje.

Dzień targowy. Południe. Umieraliśmy z pragnienia. Na placu, w cieniu kościoła, fontanna! Na jej brzegu siedział młody chłopak. To był on. Grał na flecie. Słuchał go z przejęciem mały chłopiec na wózku inwalidzkim, którego od czasu do czasu powiew wiatru orzeźwiał bryzgami świeżej wody. Odpowiadał na to radosnym śmiechem. Gromada dzieci tańczyła farandolę pod arkadami. Wtem troje pierwszych oderwało się od korowodu, nie przerywając śpiewanej piosenki podbiegło do nas i, wyciągając ku nam drobne ręce, zaprosiło do tańca. Wzruszyliśmy na to ramionami i dalej staliśmy oparci o mur, z rękoma w kieszeniach. Dołączając do pozostałych, jedno z dzieci odwróciło się jeszcze na mgnienie oka: „ Chcesz pić.. ? Nie lubisz tego?” Po odegraniu jakiejś melodii mały grajak zwrócił się do nas:

- Ej chłopcy, nie podoba się wam moja piosenka?

Ulotniliśmy się. Jego smutne oczy zdawały się mówić: „Są jeszcze zbyt duzi, żeby zrozumieć moją muzykę!”. A jednak parę dźwięków uchwyconych w przelocie powracało do mnie, kiedy dostawałem w kość. Podstawiałem pod nie inne słowa, ale była to ta sama melodyjka. I mówiłem sobie: „Ach, gdybym wtedy zatańczył!”

Parę miesięcy później, wracając z Maroka, spotkałem go w Dolinie Króla, gdy siedział pod wiejskim kościołem. Wyglądał na tak bardzo rozbitego! Głód? Zmęczenie? Żałoba? Zgubił swój flet, czy też po prostu stracił ochotę do grania? Wyciągnął do mnie otwarte dłonie. Myśląc, że prosi o jałmużnę, wsunąłem mu parę monet. I znowu jego oczy okryły się mgłą: „O nie, nie chodzi mi o twoje pieniądze!” Czego więc chciał? Żebym go wziął do siebie? Ale czegoś takiego jak „u siebie” nigdzie już nie miałem! On pewnie także nie! Podał mi gałązkę janowca z trzema złotymi kwiatami (chyba już ostatnimi tego roku):

- To dla ciebie!

Cisnąłem kwiat do rowu. I tak od tego dnia, im dłużej podróżowałem, tym częściej jego twarz stawiała mi przed oczyma. Nie da się zapomnieć tych wielkich oczu pełnych śmiechu, wniknęły we mnie, Bóg jeden wie, przez jaką szczelinę!

Często spostrzegałem go z daleka, na rozstajach dróg, gdzie miałem zdecydować, w jakim kierunku iść dalej. Przyśpieszając kroku obierałem drogę na przelaj. Chciał iść za mną czy też miał zamiar mnie wyprzedzić? Bałem się, żeby mnie nie dogonił. A jednak, to dziwne, im bardziej starałem się od niego odczepić, tym większą miałem ochotę, by go znowu zobaczyć. Ot, tak, po prostu, żeby sobie trochę porozmawiać. Gdy zapadały zimowe wieczory i nie otwierały się przede mną żadne drzwi, nic nie pomagało udawanie. Mówiłem sobie wówczas: „Z pewnością łatwiej jest dołować we dwóch”.

Jak wyglądał mój mały grajek? Jakże go opisać? Nigdzie nie widziałem kogoś takiego jak on. Prosiłem wielu przyjaciół, żeby mi go narysowali, ale żaden rysunek nie był udany. Nawet te, które umieszczam tutaj, są dalekie od rzeczywistości! Kiedy się go raz zobaczyło...

Był z pewnością przybyszem. W Zawiejach, w Dolinie nikt nie był do niego podobny. Oczy lekko skośne, czoło szerokie, sylwetka wysmukła, cera ogorzała (w ciągłych wędrówkach?), przypominał mi młodych Berberów, a raczej piękne dzieci żydowskie, które spotykałem dawniej na kresach Maghrebu. Wyglądał jak ktoś z bardzo biednego środowiska. Ręce stwardniałe, jakby od dawna obrabiały drewno.

Szerokie czerwone poncho sięgało mu prawie do kostek. Głowę okrywał często kapturem, Przez pierś przewieszona torba z plecionego sznurka. Na przegubie dłoni nie miał zegarka, lecz rodzaj sznurka z czarnej wełny, z dużą ilością supełków. Od czasu do czasu przesuwiał je w palcach.

Nie sposób określić, ile miał lat. Około trzydziestu? Rysy twarzy silnie wyżłobione, musiał często zmagać się z przeciwnościami, przebyć wiele długich i ciężkich doświadczeń. Ale jakaś łagodność nadawała jego twarzy wyraz trudnej do określenia czułości.

A przede wszystkim oczy! Jego oczy! Nigdy, nigdy nikt na mnie w ten sposób nie patrzył. Na początku często je spuszczał, tak że ledwo je widziałem. Bał się, że wprawi mnie w zakłopotanie? Muszę przyznać, że miał rację. No i ten wyraz twarzy zawsze zdziwiony, tak jakby musiał się jeszcze wszystkiego nauczyć, jakby wszystko było zawsze nowe. Błyszczało w nich pragnienie podzielenia się jakimś szczególnym odkryciem. Wyglądał wtedy dokładnie na dwanaście wiosen. Oczy dziecka, ogromne, większe od twarzy, rozświetlone przez nagły uśmiech. Tak głębokie, że aż ciemne, przypominały górskie jeziora. Płynęła z nich jednak taka jasność, że twarz była jakby prześwietlona. Jak to powiedzieć? Tak jakby to, co w środku, przebijało na zewnątrz. Oczy te wnikały w ciebie tak głęboko, tak bardzo głęboko... Nie mógłbym długo wytrzymać ich spojrzenia...

A skąd brał się u niego ten królewski sposób bycia? Coś w nim umykało mi. Ze wszystkich stron okrywał go jakby płaszcz niewinności, była to jednak niewinność bolesna. Skąd mógł pochodzić? Wyobrażałem sobie jakiś tajemniczy kraj, rodzaj pustyni, którego Europejczycy być może nigdy nie zgłębią, nigdy nie wyzyskają.

Ale wróćmy do tego poranka Bożego Narodzenia. Stał przede mną z lekko rozwartymi ramionami. Bał się, że mnie przestraszy? Nie śmiał postąpić ani kroku dalej, czyżby oczekiwał tego ode mnie? Wszystko w nim zdawało się mówić: „Ależ tak, to ja!”

Po chwili zaryzykował:

- Wiesz, mógłbym ci towarzyszyć, pokazać różne skrót, miejsca na nocleg, poznać cię z paroma przyjaciółmi...

Czułem, że chodzi mu nie tyle o to, żeby mnie poprowadzić, ile żeby trochę ze mną pobyc. Ale wówczas powiedziałem sobie: „Chce mną zawładnąć? Podejrzane!” Nigdy nie byłem kochany. Nie chciałem tego. Kochać, czy to nie znaczy być zależnym? A poza tym, jeśli się zgodzę, to czy uda mi się go kiedykolwiek pozbyć? Po co się miesza do moich spraw? Odpaliłem dosyć gwałtownie:

- Odbiło ci?

Musiałem ciągle grać mocniejszego. Ze strachu przed wszystkim i przed wszystkimi byłem świetnie opancerzony: zbroja ze stali! Ani jednej szczeliny, przez którą można by mnie osiągnąć. Posługiwałem się ironią, by odparować wszelki atak. Strzelić go w mordę?. Nadstawiłby mi drugi policzek... i ślad mojej ręki pozostałby na zawsze.

Po długim milczeniu odezwał się ponownie:

- Dlaczego? Dla czego?

Nie wiedząc, jak się wykręcić, Wypaliłem z głupia frant:

- Jak chcesz, żebym poszedł z zakażoną nogą?

- Ale ja mogę cię wyleczyć.

- Za kogo mnie masz? Za żebraka? Myślisz, że jest mi źle? Sam się z tego wyciągnę! Dziękuję!

- Boli mnie, gdy widzę, jak bardzo jesteś poraniony. A twoje oczy - wiecznie zgaszone! Chciałbym, żeby były pełne słońca!

- Moje słońce umarło!

- A zmarszczki na czole, zdajesz sobie sprawę? Tak szybko! Twoje serce musi gdzieś mieć szramy. Twarz jest odbiciem serca. Masz tyle lat co twoje serce.

Czy on także uważał, że doszedłem do jesieni życia? Umilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, czy nie powiedział już za wiele. W jego oczach malowało się oczekiwanie, zabarwione niemalże niepokojem: „Zrozumie wreszcie, czy też znów zrobi unik?”

Na moim podkoszulku: „Bom to loose”.

- To nieprawda! Nie urodziłeś się, żeby przegrać! Ale by życie w tobie zwyciężało wszelką śmierć. Urodziłeś się, aby żyć, żyć, żyć!

- Żyć, co to znaczy?

- Być pijanym miłością.

- To, czego chcę, to miłość bez przepaści...

- Znam szczęście, które nie gaśnie z pozą sobotniego wieczoru.

- To niemożliwe!

- Nie chcesz zobaczyć, gdzie mieszkam?

I oto jedziemy stopem. Jakże wielu, wczepionych w kierownicę, przygląda się nam i dodaje gazu! Wreszcie jakaś ciężarówka. Fajnie, zatrzymuje się! Wpychamy się do szoferki obok dwóch młodych kierowców. Mimo wibracji szesnastu ton, coś jakby pokój przenika powietrze. Na tablicy rozdzielczej wizerunek kobiety, młodej, w niebieskim płaszczu w gwiazdy, z dzieckiem w ramionach. Ma szramę na policzku...

Stefan: - Jedziemy do Warszawy. Tysiące dzieci nie jada tam do syta. Chcieliśmy przyjechać na Boże Narodzenie, ale administracja ciągle podstawiła nam nogę. Ten transport przygotowała grupa młodzieży. Całe miesiące chodzenia od drzwi do drzwi, zbierania żywności i ubrań. Dzieci robiły świece i sprzedawały je, żeby kupić lekarstwa. Jedna dziewczynka z Etiopii, sierota, dała całą swoją skarbonkę. Jacy jesteśmy szczęśliwi, że możemy przekazywać życie! Życie to jest to!

Bernard: - Pracowałem w szpitalu dla trędowatych w północnym Kamerunie. Była to szkoła radości! Robert, umierając, powiedział mi: „Zobaczyć Boga to jest szczęście!” Miał dwadzieścia cztery lata, rozumiesz?

- Ale po co to wszystko! Kropla wody w oceanie nędzy!

Stefan: - Nie! Iskra! Wystarczy, aby wybuchł pożar!

Zacząłem wspominać zeszłoroczne lato - ani janowiec, ani lawenda nie zakwitły. Pożar wszystko spopielił. W czarnej trawie pozostały tylko białe kamienie. Jednak, to dziwne, ogień ujawnił wszystkie ścieżki, od dawna zatarte... Jak odnaleźć zagubione ścieżki serca? Po co je odnaleźć? Czy potrzebny jest ogień? jaki ogień?

Noc pierwsza - Świtanie

Po dwudziestu kilometrach skrzyżowanie:

- Świtanie, to tedy.

Wysadzają nas na poboczu. Przechodzimy przez tartak. Wspinamy się pod górę. Postój na kanapki, które dał nam Stefan. Szukając scyzoryka natrafiam na list Sylwii. Otwieram go gorączkowo i czytam półgłosem. On jest obok mnie. Może wszystko usłyszeć. Od czasu do czasu przyglądam mu się ukradkiem. Zamyka oczy.

„... Życie? Co to znaczy? To znaczy coś dla tych, którym się udało - szczęście, fart, a dla reszty, dla spisanych na straty - banał. To tak już jest, jedni się rodzą pod szczęśliwą gwiazdą, a inni nie. Nic się na to nie poradzi, ślepy traf i tyle!

Śmierć? Co to znaczy? To znaczy coś dla tych, którym się udało: Strach przez duże S, mają przed nią okropnego pietra (co mnie zresztą bardzo śmieszy), a dla innych, dla spisanych na straty - to już mniej banalne, na pewno jakieś rozwiązanie. To prawda, tak sobie właśnie myślę rano, kiedy czuję się zawiedziona, że słońce znów weszło, i mówię sobie, że jeśli śmierć zechce wejść do mnie, do mojego domu, otworzę jej szeroko drzwi. To już wiele tygodni, wiele miesięcy jak o niej myślę, jak jej pragnę, jak na nią czekam. Ale od ciągłego wpatrywania się w horyzont, na którym nic nie widać, przychodzi mi myśl, żeby zwinąć manatki i wyjść jej naprzeciw. W końcu tak jest szybciej, no i przecież nietrudno ją znaleźć, istnieje tysiąc dróg. Na razie to tylko myśl, bo jeszcze nawet nie wyruszyłam w drogę i nie zwinęłam swoich manatków. Jednak myślę o tym i za każdym razem, gdy cierpienie zadaje jeden cios więcej w moje rany, płynie krew krzywdy i buntu, potęgując pragnienie śmierci.

Życie, a raczej czas, wyłobilo w moim sercu jak uderzeniami dłuta niezatarte słowa: STRACH, PUSTKA, NIENAWIŚĆ, NIC. .. i wiele podobnych. To słowa proste, bez większego znaczenia, kiedy widzi się je ot tak, czarno na białym. Jednak są straszne, kiedy się je przeżywa, kiedy trzeba je znosić. Boję się jutra. Jakie upokorzenia będę jeszcze musiała znieść? Z jaką samotnością będę się jeszcze musiała zmierzyć? Czy jutro będzie gorsze niż dzisiaj? Albo czy będzie lepsze? boję się.

Kiedy dla nikogo się nie liczysz, kiedy nikt nie ma do ciebie zaufania, kiedy masz rodziców, których uważasz za mocnych, a okazuje się, że są słabsi od ciebie... kiedy masz ojca kruchego jak gliniana doniczka, kiedy twoi rodzice mieszają przeszłość i teraźniejszość, kiedy nie masz przyjaciół, kiedy ciągle ktoś cię objeżdża, czy to w szkole, czy w domu, kiedy twojej klasie jest wszystko jedno, czy jesteś, czy cię nie ma, kiedy żadne czule spojrzenie nie spotka się z twoim, kiedy rzucasz wezwania SOS, które spadają ci na nos, bo nikt nie chce ich pochwycić, kiedy nie ma się na czym oprzeć... wtedy wzbiera rozpacz, która cię pochłania. Przy każdym niepowodzeniu, przy każdym upokorzeniu, pustce, kolejna kropla rozpacz dołącza do pozostałych, by cię zatopić.

Ale to nie ja wybrałam sobie życie! To nie ja powiedziałam: „Chcę się urodzić!” A więc dlaczego? Dlaczego mimo wszystko żyję? Dlaczego, kiedy

przestaję oddychać, po chwili odruch nad którym nie panuję, każe mi nabrać powietrza? Dlaczego życie jest chwilami takie uporczywe i dlaczego jest takie okrutne, takie podłe?

Dlaczego świat jest tak bardzo zepsuty? Dlaczego trudno jest zrobić sobie miejsce na ziemi i dlaczego mi się to nie udaje?

Dlaczego potrzebuję czuć, że jestem kochana, niezbędną, i dlaczego tego nie czuję? I dlaczego wszystkie te pytania bez odpowiedzi? Mam nadzieję, że mi szybko odpowiesz. Czekam z niecierpliwością...”

A on, jak to przyjmuje? Widzę, jak siedzi z głową opartą na kolanach. Czyżby płakał?

Po bardzo długim milczeniu:

- Ona jest niezbędną. Ona jest światłem. Jest i ktoś, kto nie może się bez niej obejść.

- Moja Sylwia, a więc do tego doszła! A ja chciałem się na niej oprzeć! Marzyłem, żeby uczynić ją szczęśliwą!

- Chciałbym spotkać twoją Sylwię! Ile ma lat?

- Czternaście!

- Co jej odpiszesz?

- Jej pytania, one wszystkie są moje...

Parę minut wahania i skaczą na głęboką wodę:

- Czy mogę ci coś powiedzieć?... To dla mnie zbyt ciężkie. Spodziewa się dziecka... z kimś innym! Może od dwóch miesięcy?

- Jak może dać życie, jeśli nie wie nawet, po co żyć?

- Nigdy nie daruję temu facetowi! Ją kocham nadal, ale dzieciak będzie musiał zniknąć! I to szybko!

Rozmowę przerywa brutalnie banda chłopaków, zjeżdżających z góry na charczących motorach.

Wychodzimy na spokojną polanę. Świetnie, opuszczona stodoła! Chronimy się w niej przed lodowatym, północno-zachodnim wiatrem.

Zmęczenie czy zakażenie? Powoli dają się oswoić. Intryguje mnie. Raz na zawsze dowiedzieć się, z kim mam do czynienia. Rzucam wreszcie pytanie, które pali mi wargi:

- Kim ty właściwie jesteś?

- Och, to długa historia... Jestem pasterzem, to mój zawód, i lubię go.

- A twoje stado, gdzie ono jest?

- Na hali Wilczyparów. Któregoś dnia zerwała się łam straszna burza. Dziesiątki owiec zostało rażonych piorunem. Na domiar złego, psy wywołały popłoch. Niektóre owce wpadły do jaru, inne się poraniły. Prawdziwa klęska. Nie mówiąc już o złodziejach stad, którzy wykorzystują nawałnice. Trzeba było szybko działać. Tata powiedział mi: „Słuchaj, mój mały, jesteś jeszcze młody, ale nie mam nikogo oprócz ciebie. Rób, co chcesz, odzyskaj je wszystkie. To będzie ciężkie. Będziesz potrzebował dużo czasu, ale to twoje zadanie. Niech owczarnia będzie zapełniona! Idź więc, mój maty, nie bierz nic ze sobą, żebyś mógł biegać”.

Powiedział mi jeszcze mnóstwo innych rzeczy, ale to pozostanie między nami (musisz wiedzieć, że jestem Jego jedynym synem). No i wyruszyłem w drogę, ot tak, bez niczego. I zacząłem szukać przez wszystkie czasy, we dnie i w nocy. Kiedy już nie mam siły, kiedy

chciałbym się zatrzymać, myślę o Nim. Gdybyś wiedział, jakie to święto, ilekroć Mu przyprowadzę parę owiec! Zupełne szaleństwo! Jak na uczcie weselnej!

- Nieźle się poharatałeś!

- Bez ustanku szukałem jednej owcy, jednej jedynej. Miałem wrażenie, że ucieka, gdy tylko mnie spostrzeże. Trzeba było się spieszyć. O tej porze roku noc zapada szybko. Tutaj z byle powodu można upaść i skrócić sobie kostkę. Jednak krwawiąc, uczę się leczyć innych.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, to zostawiłeś resztę stada tak po prostu, bez pasterza?

- Co chcesz, na tej jednej owcy Ojcu zależy jak na źrenicy oka. Dla Niego liczy się tylko ona. Co za cios, gdybym jej nie odnalazł!

- I jeszcze jej nie odnalazłeś?

- Ona się boi, że ją odszukam.

- A ja, czy mógłbym pomóc ci ją odnaleźć?

- Jeszcze jak! Co więcej, tylko ty możesz mi pomóc. Bez ciebie nigdy jej nie odnajdę.

- Można by spróbować jutro.

- Ojcu się spieszy, wiesz? A poza tym do jutra mogłaby sobie zrobić coś złego.

- Wyglądasz na zmordowanego! Odpocznij tej nocy.

- Moim odpoczynkiem jest mieć ją tu, na ramieniu.

- Czy twoje zwierzęta mają imiona?

- Każdej nadałem imię.

- A ta, której dzisiaj szukasz, jak się nazywa?

Odniosłem wrażenie, że się waha. Milczenie pogłębiało się. A potem jedno jedyne słowo:

- E-ma-nu-el!

Elektrowstrząs! Grom z jasnego nieba!

Moje własne imię? Skąd je znał? Nikt mi go jeszcze nie powiedział w ten sposób, tak jak się wyjawia sekret. Jakbym słyszał je po raz pierwszy! Jeszcze łagodniej powtórzył:

- E-ma-nu-el!

Tego było za wiele! Coś pękło w jakimś zakamarku serca. W jednej chwili został rozbity mój potężny system samoobrony!

Wyglądał na tak słabego, że ja również poczułem się słaby, zupełnie słaby. Jak mogłem dłużej osłaniać się przed dzieckiem, którego jedyną bronią, aby mnie zwyciężyć, było moje imię! Jak dalej odgrywać moje małe wewnętrzne kino? Jak jeszcze okłamywać samego siebie?

- Wiesz, znam cię już od dawna! Poznałem cię na długo przed tym dniem na rynku w Zawiejach... Na plaży w Sztormie-Swiętego-Jana, pewnej nocy, pamiętasz? Słuchałem, jak śpiewałeś „Niewinności, zgubiłem cię”. Księżyc znaczył fale srebrną smugą. Siedziałem pod figowcem i myślałem: „To do mnie się zwraca. Ale o tym nie wie”. Od tamtej nocy ciągle nękało mnie twoje spojrzenie. Ilekroć zamykałem oczy, widziałem twoje.

Tak więc czekał na tę chwilę od lat! Od lat myślał o mnie! Stojąc za ciernistymi zaroślami wypatrywał mnie dniem i nocą, mówiąc sobie za

każdym odgłosem kroków: „To on!” Jak się jeszcze upierać, że niczego i nikogo nie potrzebuję, kiedy on nie mógł się beze mnie obejść?

Jak dzieciak wybuchnąłem płaczem. Gdzieś puściła jakaś tama: łzy, zbyt długo tłumione, płynęły, płynęły... Łzy inne niż zwykle! Od tylu lat na nie czekałem...

Podniósł się teraz. Nic nie mówiąc, z jakimś niewzruszonym majestatem, pokazał mi swoje ręce. Spostrzegłem na nich rozległe rany. Musiały bardzo krwawić. Na stopach, między rzemieniami sandałów, te same dziwne okaleczenia. Spoza rozdartego poncha widać było niemal rozorane ramię. Pokazywał mi te rany, jakby nie mógł znaleźć nic innego, by mnie uspokoić. Nic innego, by mi powiedzieć, kim jest. Tak jak się pokazuje dowód osobisty.

Czy to szukając mnie tak się pokaleczył? Czy rany rozszerzały się za każdym razem, gdy przed nim uciekałem?

Na czole zauważyłem ślady uderzenia o flipper. To ja go przewróciłem! A jeżeli go tak zraniłem, to czy sam nie byłem poraniony? W swoim sercu, tak jak on w swoim ciele? Wszystkie te pytania oraz wiele innych uderzało o siebie z ogromną prędkością, jak kamyki w rwącym potoku.

- Tak, owcą, bez której Ojciec nie może spać spokojnie, jesteś ty!

- Ale ja nie jestem żadną owcą!

- Jeśli nie masz gdzie skłonić głowy, jeśli zgubiłeś swoją gwiazdę polarną, jeśli zapomniałeś o ścieżce swego serca, jeśli nie znasz już swego imienia, jeśli twoja rodzina cię odrzuciła, to tak, to jesteś tą, której szuka Miłość.

- Śmieszny jest ten twój ojciec!

- On jest właśnie taki! Ma do ciebie słabość! A w takich wypadkach nic nie jest zbyt piękne... Jest bardzo mocny, ale ma jeden słaby punkt: ilekroć cierpisz, On cierpi razem z tobą.

- Tak jak Elżbieta, ze swoim upośledzonym dzieckiem...

- Gdybyś wiedział, co mówisz! Im bardziej nie byłeś w stanie sam sobie poradzić, tym bardziej On nie mógł odmówić, bym przyszedł cię uleczyć. Byłem dla Niego wszystkim. Jakże lubił na mnie spoglądać! Nigdy się tym nie nużył. I pewnego dnia zgodził się, abym Go opuścił i przyszedł cię pielęgnować. Gdy jesteś sam, On jest biedny, bardzo biedny. Rozumiesz?

- A gdybym ci wpakował kulę w łeb, co by zrobił?

- Wypuszczając mnie w drogę, podjął wszelkie ryzyko.

Siedziałem obok niego, zatopiony w myślach. Nagle spomiędzy dwóch gałęzi wypłynął promień księżycy i spoczął mu na dłoniach.

- Ale... Te rany na rękach, skąd je masz?

- Zadali mi je przyjaciele.

- Przyjaciele?

- Tak. To jest dla mnie dość szczególne. Trudne do wytłumaczenia: to dlatego, że mnie zranili, uczyniłem z nich przyjaciół, a nawet o wiele więcej: braci. Później to zrozumiesz.

- W jaki sposób tak cię skrzywdzili?

- Pewnego dnia ludzie pochwycili mnie i ubiczowali. Bali się, że dalej będę grać na flecie... Ubodzy tak bardzo lubili przychodzić mnie słuchać, że gdybym nie przestał, staliby się wkrótce jednym ludem. Ludem szczęśliwym, gdyż na wzgórzach śpiewałem tylko jedno: „Szczęście! Szczęście! Szczęście!” I zewsząd przybiegali, spragnieni szczęścia... Od tak dawna już czekali!

- No i?...

- Przywiązali mnie do drzewa, na wzgórzu. Wbili w moje ręce duże gwoździe, by mieć pewność, że już, nie będą mogły uzdrawiać.

- Ale przywiązany do drzewa, i do tego przybity gwoździami, powinienesz być umrzeć?

- Tak właśnie się stało. Przeszedłem przez śmierć, przez twoją śmierć...!

- A więc w jaki sposób jesteś tu dzisiaj?

- Właśnie to wam jest tak trudno zrozumieć! Posłuchaj. Następnego nocy Ojciec przyszedł po cichu. Wszedł do groty, gdzie mnie złożono. Pochylił się nade mną. Tchnął w moje usta, tak jak się to robi z topielcem. Wziął mnie za rękę, a ja wstałem. Potem poszedłem spotkać tych, których zostawiłem, tam gdzie płakali – w ogrodzie, na strychu, na drodze... I oto jestem dzisiaj tu, na twojej drodze...

- Ale do czego zmierzasz?

- Emanuelu, czy zgodzisz się, żebym cię przyprowadził z powrotem do nas, to znaczy, do ciebie?

- A jeżeli odmówię?

- Daleko jest twoja owczarnia?

- Dużo bardziej na wschód. Stąd trzeba iść przez Świetlisty Krzyż, a potem wspiąć się w kierunku wschodzącego słońca.

- A jak się nazywa miejsce, skąd pochodzisz?

- Radości. Dojdziemy tam któregoś dnia. Ale po długiej wędrówce. Najpierw trzeba postawić na nogi zwierzęta. Niedaleko stąd jest popas. Poznałem tam wielu przyjaciół. Pomagają mi leczyć owce. Pokazałem jak się do tego zabrać.

Rozmawialiśmy już dość długo, musiało być około Północy. Lekka mgła unosiła się znad doliny, wioski tonęły w niej. W dole jednak nieliczne światła domostw rozjaśniały ją swym blaskiem. Nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem, jak go nazywać.

- Muszę cię kochać imieniem, które jest tylko twoje. Nie zostawisz mnie, zanim mi go nie zdradzisz.

- Zawsze się trochę boję je wyjawiać, póki nie zapłonie iskra. Moje imię jest tak piękne w ustach Ojca, że serce Mu się ścisza, gdy słyszy, jak się je wymawia byle jak. Ale zaczęliśmy być przyjaciółmi, masz prawo do mojego imienia. Ojciec chciał najpierw mnie nazwać Emanuel.

- O! tak jak ja! A więc mamy to samo imię?

- To samo. To ja pierwszy je otrzymałem.

- Dlaczego twój ojciec się wahał?

- Sądził, że nie jest dosyć wymowne. I pewnego dnia wymyślił inne: „Emanuelu, od dzisiaj będziesz JESZUA”.

- Co to znaczy?

- Ten, który przychodzi uzdrawiać. Wy mówicie chyba.. Jezus.

Jezus! A więc to On! Naprawdę On? Jak to możliwe? Tyle razy mi o Nim mówiono!

Powyżej dziurek w nosie! Już mama zaczęła: „Nie rób tego, Bozia cię ukáže!” Obrzydł mi. W szkole, gdzie wkuwaliśmy regułki na pamięć, żeby zdobyć punkty, zaczął mi się mylić z nauczycielką. Wściekała się o byle co. Potem wyobraziłem Go sobie na kształt Jezusa- Chrystusa-Super-Star, aż nagle dzisiaj coś zupełnie, ale to zupełnie innego!

Muszę przyznać, że pewnego razu, gdy przechodziłem przez Dzielnicę Łacińską, zaskoczyła mnie grupa młodych ludzi. Siedzieli w kręgu na chodniku i zdawali się rozmawiać z kimś spośród siebie, ale z kim? „Dobrze jest nam być z Tobą tego wieczoru. Dziękuję Ci, że dajesz nam braci. Dotknij serca tych, którzy przechodzą obok nas...” Słowa zupełnie proste... Pomyślałem sobie wtedy: „Może to właśnie jest modlitwa?”

Pod koniec zaczęli mnie: „Trzeba, żebyś rozpoczął od nowa swoje życie. Mieszkamy na Wyspie Królowej razem z Cyganami. Wpadnij do nas, jak będziesz chciał. Zobacysz wozy, zaraz za zabudowaniami. Jeśli będziemy jeszcze w pracy, to wejdź, nie ma ani zamka, ani klucza. Czuć się jak u siebie”.

Bojąc się, że wpadnę w jakąś sektę, spanikowałem. To prawda, że wyglądali na trochę stukniętych, chociaż nie byli agresywni. Ich sposób mówienia o Jezusie –jak zakochani. No, a przede wszystkim wyglądali na szczęśliwych, i to nie były zgrywy! Co mi utkwiło w pamięci - ich śpiew przy gitarze. Jedna ze zwrotek wróciła do mnie właśnie zeszłej nocy:

„Stoisz pod drzwiami, i ciągle pukasz,
Chcę Ci otworzyć, by podzielić się chlebem.
Mego życia już nie ma. Potrzebuję Ciebie.
Otwórz mi, mój Królu, ginę bez Ciebie!”

I teraz On. Naprawdę On! To On do mnie mówił. To On mnie słuchał. To On mnie dotykał. To On mnie... kochał! Rozumiesz! Nigdy, przenigdy bym Go sobie takim nie wyobraził. Nic wspólnego z kinową pięknoscią Jezusa z Nazaretu, którego grali na naszych ekranach. Przypominał mi najbardziej Łukasza, najmłodszego z grupy modlącej się na chodniku. Twarz miał pełną tak łagodnego światła, że w Zawiejach myślałem, że mały flecista, to On.

Ale wróćmy do Świtania. Długo, długo trwaliśmy tak, patrząc na siebie, w ciszy. A potem odważyłem się:

- Ale jeżeli Jezus to naprawdę Ty, to dlaczego wyglądasz jak zagubione dziecko? Musisz mieć chyba przyjaciół?

- Dla mnie każdy jest jedyny na świecie, tak jakbym tylko przez niego mógł być kochany. A więc, kiedy mnie tego pozbawia... nie mam potrzebnej mi miłości.

- No to musisz być strasznie źle kochany: nikt nie oddał wszystkiego, tak jak Ty... i nikt nie jest tak wzgardzony...

Chciał mi jeszcze coś powiedzieć, czy o coś zapytać? Ruchem ręki daję Mu znak, by zaczekał chwilę, abym mógł się przyzwyczaić do Jego imienia.

W oddali pianie koguta rozrywa ciszę. Już! Niech noc trwa w nieskończoność! Być tutaj z Nim, tylko z Nim, jak to dobrze!

Co znaczy chłód i ciemność, głód i senność? Co znaczy wczoraj i jutro? Już nic się nie liczy, tylko moje imię w Jego oczach. Jego imię w moich.

Już nie jestem sam. Noc już nie jest nocą.

Dzień drugi

Poranna mgła unosi się nad doliną. Z chwili na chwilę nabrzmiewa światłem, w ten sam nieśmiały sposób, w jaki słońce wita najbardziej odległe zakątki zimy. Tak właśnie światło Jego oczu weszło w mojej nocy.

Oddała się trochę w stronę lasu otwierającego się na dolinę. Może chce, by ostatnie wydarzenia uciszyły się na dnie mego serca?

Oto stoi pod starą lipą - wyprostowany, z rękoma wzniesionymi, twarzą zwróconą ku rodzącej się jasności, która czyni Jego oblicze jeszcze bardziej przejrzystym. Wydaje się młodszy niż wczorajszego wieczoru. Pozwala się ogarnąć temu świeżemu i nowemu światłu, jakby go nigdy nie widział. A świat zdaje się zawieszony na Jego spojrzeniu...

Ja, znieruchomiały, bez słowa, patrzę, jak On patrzy. Widziałem już wszystko - czy umiem jeszcze patrzeć?

Podchodzę, by lepiej zobaczyć, co Go tak fascynuje: Słyszac chrzęst oszronionych liści, odwraca się i ruchem ręki daje mi znak, bym się zatrzymał. U mych stóp tysiące gwiazd: w wysokiej trawie, na pajęczynach słońce igra teraz z rosą.

- Nie niszczy tych arcydzieł! Wszystko to, co ci się wydawało w twoim życiu szare, smutne i brudne, zajaśnieje perłami, gdy spojrzysz od strony wschodzącego słońca.

Czy miał na myśli swoje spojrzenie, rzucające okruchy światła na najnędzniejsze obszary mojego życia? Tak jakby mnie widział nie takim, jakim byłem wczoraj, lecz jakim będę jutro? Przypatrywał mi się w przyszłości...

Miłochwale

Wtem brutalny krzyk syren. Wyją, rozdzierają ciszę. Oszałałe łanie uciekają, równając z ziemią stodołę. Mężczyźni, wyposażeni w piły, są już na miejscu. Sosny, buki, modrzewie, lipy... nic się nie ostoi, bez względu na wiek! Padają ciężko, niczym rozstrzelani skazańcy, wydając przeciągły jęk. Są ćwiartowane żywcem! Ludobójstwo! Ogromne maszyny rozpruwają wzgórza.

Poprzedniego dnia pochwyciłem przypadkowo na drodze rozmowę dwóch wieśniaków: „Mówią, że to parcelacja gruntu, ma powstać ośrodek narciarski. To dużo przynosi. Nie pytają nas o zdanie. Przyjdzie nam się stąd wynieść!”

Podminowane skały rozpadają się w kawałki. Jego dolina, Jego rozkoszna dolina jednym polem bitwy! Wpierw ją zgwałcili, a teraz ją mordują na Jego oczach. Już ze wszystkich stron krwawi! Tak więc jedyna rzecz na świecie, która była jeszcze dla mnie piękna - natura, przestanie istnieć! Wróble już nigdy nie będą miały z czego uwić sobie gniazda. Czy światło będzie jeszcze światłem? Czy niebo pozostanie niebieskie? A deszcz wierny umówionym spotkaniom? Czy pory roku będą umiały się w tym połapać? Czy małe źródła pozostaną na zawsze przysypane piaskiem?

Spychacze wyją, doprowadzając do końca mordercze dzieło, gdy mówię Mu:

- Chodźmy stąd! nie patrzy się na agonię piękna!
- Jednak pewnego dnia cierpienie rozbije się o piękno.

Podniósł kij, włożył sandały, wsunął flet za pasek i przerzucił torbę przez ramię.

Ostatnie spojrzenie na polanę: ileż tu się zdarzyło! Świtanie, z Bogiem! Nigdy nie zapomnę o tobie!

Gdy mieliśmy już odejść, wyciągnął z torby małą książkę:

- Masz, weź ją! Potrzebna ci będzie w drodze. Kiedy się boisz lub wahasz, otwierasz ją: słuchasz.

Zrobiłem, nie bez nieufności, to, o co mnie prosił. Natrafiłem na słowa z rozdziału zatytułowanego Tobiasz: „Znam wszystkie drogi. Przeszedłem wszystkie doliny i góry, znam wszystkie szlaki.” (Zob. Tob 5,10 b)

- Otwórz jeszcze raz.

„Ja jestem z tobą i będę cię strzegł, gdziekolwiek się udasz. A potem sprowadzę cię do tego kraju. Bo nie opuszczę cię, dopóki nie spełnię tego, co ci obiecuję.” (Zob. Rodz 28,15)

- Znajdziesz w tej książce pieśni, które sam ułożyłem. Nazywają je psalmami. Dobrze się w ich rytmie wędruje. Są odpowiednie na każdą okazję - gdy płaczesz, tańczysz, krzyczysz, gdy się bawisz. A zwłaszcza gdy kochasz. Mógłbyś nauczyć się ich na pamięć. W każdej sytuacji będą odzywać się w twoim sercu. No i... gdyby kiedyś zabrano ci tę książkę... W niektórych krajach posiadanie jednego egzemplarza jest niemal zbrodnią przeciwko państwu.

- A dlaczego jest tak bardzo wywrotowa?

- Bo opowiada moje życie, wszystko, co robiłem i mówiłem, co wycierpiałem i co kochałem. Gdy się tym żyje, można zmienić świat. No i oprócz tego to nie jest książka taka jak inne. Jeszcze dzisiaj mówię w niej do każdego. Daj mi tę szansę, bym każdego dnia mógł przez nią mówić do ciebie, zgoda?

Zdecydowanym krokiem ruszył w drogę. Dokąd mnie w końcu zawiedzie? Zaczął nucić jeden ze swoich ulubionych utworów:

„Szczęśliwi, którzy mieszkają w domu Twoim,
Panie,
którzy zachowują ufność w swoim sercu.
Przechodząc doliną płaczu,
przemieniają ją w źródło.
Z mocy w moc wzrastać będą:
ujrzą oblicze Boga.” (Zob. Ps 84,5-8)

Przy słowie „Bóg” wykrzywiam się.

- Nie, nie! To nie Bóg, o jakim myślisz. Nic podobnego! Jest zupełnie inny. Zrobiono z Niego karykaturę!

Z głębi parowu dochodzi huk wzburzonej wody.

- Czy daleko jeszcze do Radości?

- Żeby się tam dostać, trzeba przejść przez strumień, który zawsze napawa lekiem.'

- Lęk przed utratą gruntu, przed porywistym prądem?

- Jeśli zostaniesz za mną, będziemy razem w czasie tej trudnej przeprawy. Wiem, gdzie jest bród. A poza tym w przejściu przez wody pomaga Mama. Z Nią jest to łatwiejsze do zniesienia.

Na skrzyżowaniu tabliczka: „Obszar chroniony - Park narodowy – Miłochwale”. W pewnej chwili zrywa oset, jeden z tych, co jesienią zmieniają się w niebieskie gwiazdy.

- Wiesz, Bóg przydział cię w szatę jeszcze piękniejszą. Przynajmniej mi więc, że nigdy nie będziesz się martwić. Ciesz się każdego dnia z tego, co On ci daje. O dniu wczorajszym myśl tylko po to, by powiedzieć: „dziękuję”! O jutrzejszym zaś: „z góry dziękuję”!

Około południa zdaje się być u kresu sił. Zapewne na skutek ciężkiego dnia spędzonego na szukaniu mnie. Tak jak ja ma pęcherze i idzie z trudem. Nieoczekiwanie ukryta wśród wysokiej trawy koleina. Potyka się i osuwa na ziemię. Muszę Go podnieść. Nie mówi już nic. Spostrzegam studnię i domyślam się, że nie pogardziłby kubkiem wody. Rozczarowanie: cembrowina popękana, łańcuch i wiadro przerdzewiało!

- Twoja studnia... była właśnie taka. Ileż razy chciałem się z niej napić! I nie było nic, żeby zaczerpnąć wody. (Zob. J 4,6-14)

Z pobliskiego miasteczka dobiegają trzy uderzenia dzwonu. Zasypia w cieniu oliwnego drzewa. Tak jak wyczerpane, lecz ukojone dziecko. W czyich ramionach spoczywa... ? Ogarnia mnie lęk: czy się obudzi? Gdyby nie On, co by się ze mną stało? (Zob. Łk 23, 46)

Jednak otwiera oczy. W ładnej chwili zrywa się na równe nogi.

Omijamy miasteczka. Może chce być ze mną sam tego pierwszego dnia? Chce mi wiele powierzyć. Wykorzystuje wszystko, co widzimy, by opowiedzieć mi trochę o sobie, o swoim życiu, o bliskich.

Przechodzimy przez las. Na każdej sośnie gniazda gąsienic - gałęzie są zupełnie zjedzone.

- To straszne, pożerają całe drzewo, zanim zdążysz zdać sobie z tego sprawę!

- Kto taki?

- Pasożyty twojego serca.

- A jak z nimi walczyć?

- Gdy tylko pojawi się gniazdo, wyciąć je, spalić. Inaczej igła po igle, gałąź po gałęzi, zjedzą wszystko i z twojego drzewa pozostanie szkielet...

Około piątej po południu napotykamy w szczerym polu budynek szkolny, o ultranowoczesnej architekturze, bez jednego nawet okna! Wychodzą z niego dzieci. Przecierają oczy, wydostając się spod

agresywnych uderzeń jarzeniówki na łagodne wieczorne słońce tego niezwykłego zakątka.

- Dlaczego pozbawiać dzieci światła dnia, bez którego rzeczy nie są już tym, czym są naprawdę? Dlaczego wprowadzać je w błąd tym, co sztuczne? Emanuelu, czy jesteś stworzony dla neonów, czy dla słońca? Bez prawdy życie jest tylko nocą...

Jego wzrok zdawał się widzieć każde dziecko w przyszłości i - kto wie? - być może dla każdego z nich tę przyszłość rodził. Wystarczyło, by napotkały Jego spojrzenie, a ich małe twarze rozjaśniał uśmiech. Było to warte tyle, co wszystkie „dobranoc” świata! Miał prawdziwy dar wywoływania uśmiechu w wygasłych oczach, tak jak się zapala świecę.

Przechodzimy obok winnicy. Dwóch najemników przycina sekatorem sadzonkę po sadzonce. Po Jego twarzy przemyka cień:

- Tyle pracy...

Kładzie rękę na moim ramieniu;

- Emanuelu, jesteś zdolny do wielkich i pięknych rzeczy. Bardzo liczę na ciebie.

Te słowa! Nikt mi ich nigdy nie powiedział! Całe lata na nie czekałem. W szkole wbijano mi do głowy: „Jesteś do niczego!” A On liczył na mnie!

- Ja też wciąż czekam na te słowa. Tak rzadko ludzie uciekają się do mnie. Boją się mnie! Lub też biorą za dobrodusznego pocziwinę, nieudolnego, słowem... nieszkodliwego! Albo też za kogoś w rodzaju superdyktatora sado-masochisty...

Śpiewań

Zapada już zmierzch. Czy spędzimy tę noc pod gołym niebem, tak jak poprzednią? Za kolejnym zakrętem ścieżki Jego twarz rozjaśnia się. W oddali, ukryty wśród oliwnych drzew, mały kamienny domek z różową dachówką.

- To Śpiewań. Nareszcie jesteśmy!

Nie widać nikogo, jednak jakiś głos, przejrzystszy niż światło wieczoru, rozlega się wśród skał zawieszonych nad chatą. Słowa stają się coraz jaśniejsze...

„Ukochany mój, oto On, oto nadchodzi! Skacze po pagórkach...”(Zob. Pnp 2,8)

- Jak dobrze jest to usłyszeć, gdy się wraca po ciężkim dniu.

Obok chlebowego pieca, między cyprysami, drobna sylwetka młodej dziewczyny. Czy przygotowuje podpłomyki? Pasterz zatrzymuje się, po prostu po to, by na Nią popatrzeć. Nie spodziewała się Go tego wieczoru. Gdy odchodził, czy można było przewidzieć, kiedy wróci?

- Ale radość! Tak bardzo chciałem cię z Nią poznać! Jestem pewien, że Ją pokochasz!

- Wydaje się młodsza od Ciebie... To Twoja mała siostra?

- Raczej twoja,.. To Mama. Nazywamy Ją Miriam. To ja Ją wybrałem.

Przygląda się Jej bez końca, wreszcie postanawia zrobić niespodziankę. Wstaje, wyciąga flet i zaczyna Jej wtórować. Od razu

harmonia tak doskonała, że dziewczyna niczego nie spostrzega. Tego jasnego duetu wśród wieczornej ciszy słuchałbym całą noc. Raptem Miriam milknie, flet jednak przeciąga ostatnią nutę, długo, jak fermatę. Wtedy odgaduje. Odwraca się, wybiega na ścieżkę, krokiem pełnym wdzięku, jakby tanecznym, w długiej białej sukni. Jaka świeżość! Jej także dałbym około dwunastu wiosen. A przecież widać dobrze, że wie, co znaczy być matką. Podchodzi najpierw do mnie i mnie pierwszego całuje.

- Jezua! Jezua, mój mały!

Przecież nie jest ślepa! Jakże może mnie z Nim mylić?

- Ależ, ja nie jestem...

- Tak, tak! Jezua, to ty!

W Jego ogromnych oczach zdziwionego dziecka kryształły złota.

- Jak bardzo na ciebie czekałam! Każdego ranka mówiłam sobie: „To stanie się dzisiaj wieczoru...”

Chodź, jesteś u siebie!

Niezwykły widok: na kamiennej ławce przed drzwiami Beduin, wyglądający na przybysza z krainy ciszy. (Zob. Mt 3,1-15; Mk 1,1-11; Łk 3,1-20)

Zdaje się wyczekiwać na pierwszą gwiazdę. Kiedy spostrzega, jak wchodzimy na ostatnie stopnie tarasu, jego oczy zapalają się ogniem, wykrzykuje:

- Jest, jest tutaj, lecz pęknięcia naszego rozbitego świata!

O ile radość Miriam jest spokojna, o tyle jego niezwykle żywiołowa. Jakby nareszcie zostało spełnione zbyt długie oczekiwanie.

Oto z różnych stron nadchodzi około dwunastu osób. Nie spodziewałem się, że zobaczę tak liczną rodzinę. Jeden po drugim całują Pasterza, który mnie przedstawia:

- To Emanuel. W końcu dał się odnaleźć. Długo to trwało, wybaczenie mi spóźnienie, ale było warto!

Barczysty mężczyzna, o szorstkim, lecz dobrodusznym wyglądzie przynosi kosz świeżych ryb, cały dumny z połowu.

- To Szymon Piotr. Oderwałem go od sieci. Jest bardzo szczery. Upadł, opuszczając mnie, gdy zostałem zatrzymany. Jednak moje spojrzenie wyzwoliło jego łzy Pracuje ze mną przy stadzie.

Pasterz kładzie mu ręce na ramionach:

- Wiesz dobrze, że cię kocham. (Zob. Łk 5,4-11; J 21, 15-19)

Następnie wskazuje na innego mężczyznę, nadchodzącego z wiadrzem czystej wody.

- Ten to Józef. Zawsze spokojny, tak w najgorszych, jak i w najlepszych chwilach. Co za wsparcie dla Mamy, przy każdym ciężkim doświadczeniu! Nauczył mnie obrabiać drewno, dobrze władać naszą mową, służyć w codziennych sprawach.

Znajdowaliśmy się teraz razem w dolnej izbie, której sufit tworzyły nierówno ociosane belki. Zapalono kilka świec. Marta krzątała się z uśmiechem, podając podpłomyki, sporządzone poprzedniej nocy. Jezua pobłogosławił je:

- Z Twoich rąk, Ojcze, otrzymujemy wszystko. Czuwasz nocą, aby przygotować to, co będziemy jeść nazajutrz. (Zob. Łk 10, 38-42)

Siedziałem naprzeciw Jezuy. Po Jego prawej stronie młoda kobieta. Pochwyciłem okruchy rozmowy.

- Gdy tylko zobaczyłam Twoją twarz, zrozumiałam, że mi wybaczyłeś wszystko, ponieważ mnie bardzo ukochałeś, i wtedy, w zaułkach Magdali... (Zob. Łk 7, 36-50)

- Wybaczyłem ci, ponieważ to ty mnie bardzo ukochałaś! Rozbiłaś swój flakonik olejku, aby oblać moje stopy...

- Nie, nie, to Ty rozbiłeś swoje serce, by Twój olejek rozlał się we mnie.

- Skropiłaś moje stopy łzami i...

- Nie, to Ty płakałeś, aby mnie obmyć.

Jedno drugiemu odbijało piłeczkę! W pewnej chwili przygarnął ją:

- Magdaleno! Niech będą błogosławione twoje usta, które pierwsze wykrzyknęły: „On żyje!” (Zob. J 20, 11-18)

Biesiadnik z lewej wpatrywał się w Niego uporczywie.

- Byłem skazany na śmierć, moje życie to były przegrane i upadki! A Ty przywróciłeś mi czystą kartę! Otworzyłeś drzwi od tak dawna zaryglowane!

- A ty, kiedy wszyscy mnie oskarżali, jeden stanąłeś w mojej obronie! Gdybyś wiedział, co znaczyło dla mnie twoje spojrzenie! Ostatnie, nim zamknąłem oczy... Byliśmy zawieszani na jednym drzewie... (Zob. Łk 23, 39-43)

Dziwiło mnie, że nie widzę surowego Beduina spotkanego przed wejściem. Miriam szepnęła mi:

- Yohanan zostaje zawsze na progu. Czeka na przechodniów i zaprasza ich na święto.

Józef nie mówił nic. Kolejno spoglądał na swojego Jezue i na małą grupę skupioną wokół Niego. Był zadowolony jak wieśniak patrzący na stodołę dobrze zapełnioną zbożem. (Zob. Mt 1,18-25)

Kobiety przynosiły swoje dzieci. Kładąc na każdym rękę, wypowiadał jego imię i błogosławił je:

- Bądź błogosławiony, ty, który przed czasem zmieszałeś swoją krew z moją! Ty, którego krzyki w zaułkach Betlejem zaświadczyły o mnie aż po krańce świata! (Zob. Mt 2, 13-18)

W końcu spostrzegłem grupę młodych pasterzy:

- Mama mówiła, że przyszliście ofiarować mi baranka i trochę koziego sera podczas zimowej nocy, gdy nikt nam nie chciał dać schronienia. A wy poruszyliście całe miasto, tak bardzo byliście przejęci! (Zob. Łk 2,8 – 18).

Noc druga

Pod koniec posiłku Pasterz wziął mnie na bok:

- Chciałbym się spotkać razem z Miriam i Janem.

Jan był z nich wszystkich najmłodszy. (Zob. J 13,23;21,20-22) Zebraliśmy się w niskiej, małej izbie, która zapewne służyła jagniętom. Była pełna słomy i swojskiego zapachu stada. Wewnętrzną ścianę tworzyła skała. Małe oliwne lampy oświetlały parę zawieszonych obrazków. Pasterz zaczął od badania pulsu, potem oparł mi głowę na piersi i kazał długo oddychać. Wyglądało na to, że zna się na medycynie, chociaż jest tylko pasterzem. Potem powiedział tonem poważnym, niemal zatroskanym:

- Jesteś bardziej chory, niż myślisz. Zobaczyłem to już wczoraj wieczorem w twoich oczach. Nie mogłem ci tego jednak powiedzieć, bo wpadłbyś w panikę. Teraz nie chcę niczego przed tobą ukrywać. To, co ci dolega, jest poważne. Wiesz, dusza też choruje na raka. Nie zdajesz sobie z niczego sprawy, aż nagle choroba wybucha i toczy do końca.

Czy chciał mnie zaprowadzić do najbliższego szpitala? Poddać leczeniu?

- Chciałbym cię o coś prosić: przejdźmy razem ponownie drogę twego życia...

- Ależ... co masz na myśli?

- Pójdź ze mną jeszcze raz wszędzie tam, gdzie żyłeś, gdzie cierpiełeś, gdzie cię skrzywdzono.

- Zwariowałaś? To wszystko jest już skończone! Po co babrać się w błocie?

- Emanuelu, wiesz dobrze, że jest wiele miejsc, których tak naprawdę nie pozostawiłeś za sobą. Wiążą cię z nimi łańcuchy ze stali. Nie pozwalają ci one iść dalej twoją drogą, z sercem czystym i wolnym. Zagradzają ci przyszłość.

- Boję się. Otworzysz rany, przywołasz lęki...

- Znam te drogi lepiej od ciebie. Nie byłeś jeszcze wtedy ze mną, ale ja już byłem z tobą. Zaufaj, teraz będzie zupełnie inaczej.

- Ale dlaczego nie przekreślić przeszłości tutaj, teraz, jednym ruchem ręki?

- Muszę uzdrowić każdą ranę tam, gdzie ją zadano. Zejść do korzeni, aby uleczyć ból, zaradzić złu. Mam swój szczególny sposób uzdrawiania, znam się na tym. Pozwól mi to zrobić.

- Czuć się jak u siebie!

- To ja zapraszam cię do siebie!

Bezzemie

I tak oto wyruszyliśmy razem na wzgórze mojej wewnętrznej krainy. Chciałbym ją nazwać Bezzemie. Wędrowaliśmy ścieżynami, prowadząc na zmianę. Zatrzymywaliśmy się wszędzie tam, gdzie upadłem, krwawiłem, płakałem. Jak dobrze znałem te miejsca! Tak wiele ich było, a wszystkie żyły we mnie. Pasterz mówił prawdę.

Najpierw przeszliśmy przez więzienie, gdzie odsiedziałem rok paki za włamanie. Przypomniało mi się nagle wszystko, co tam przeżyłem podczas tych niekończących się miesięcy.

- Przyszedłem cię raz odwiedzić, Emanuelu, pamiętasz?

Zrozumiałem wtedy, dlaczego któregoś ranka, stojąc plecami do okna (wpadałem w czarną rozpacz widząc grzbiet górski!) odczułem nagle jakieś przejmujące ciepło i chęć przebaczenia kumplom, którzy mnie sprzedali. Wziąłem się jednak w garść: „Świrujesz!”

Potem obejrzelśmy razem proces. Wszystko było zniekształcone: mnóstwo kłamstw na mój rachunek. Nie mogłem opłacić adwokata, a ten, którego mi przydzielono, miał wszystko gdzieś.

- Przeszedłem przez to...

(Czy On również miał odsiadkę?)

- Nie znasz ostatniego polecenia Ojca, jeszcze na progu Radości: „Idź ogłosić jeńcom wyzwolenie. Powiedz im: Wychodźcie.” (Zob. Iż 61,1-3) Jestem tutaj dzisiaj, aby cię wyrwać z więzień jeszcze straszniejszych.

Potem poszliśmy do wróżki, która czytała z ręki i określiła mój układ astralny. Przepowiedziała mi szczegółowo przyszłość: śmiertelny wypadek w wieku trzydziestu jeden lat, pewnego 28 października... Czułem się jakby napiętnowany rozżarzoną żelazną prętą, wydarzenie to nękało mnie, tym bardziej że niektóre przepowiednie sprawdzały się jedna po drugiej. Słowa wróżki migły mi w dzień i w nocy. Skazany na nie do końca życia jak na lodowate więzienie, ulegałem buntowi i bolesnemu wyczerpaniu. Głosiłem odrzucenie przemocy, a jakaś dzika agresja kazała mi wszystko niszczyć. To mnie wykańczało. Co noc zrywały mnie ze snu koszmary. Niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji szukałem gorączkowo odpowiedzi w horoskopie dnia. Wielokrotnie kobieta ta za pomocą szklanek i liter wprowadzała mnie w kontakt z duchami. Uzdrowiła mnie również z różnych chorób, używając hipnotycznych gestów i zaklęć. Któregoś dnia usłyszałem przypadkiem, jak mówiła do jednej z klientek: „Mogę uzdrowić pani syna, ale za cenę jego duszy”. Przeraziłem się. „Moja dusza, czy jeszcze ma jakąś cenę?”

W tej chwili Pasterz wybuchnął gniewem. Nigdy nie przypuszczałem, że może się tak zachować. Przewrócił stół, porozbijał czarodziejskie przedmioty, amulety, szklane kule, zegary, porozrzucił karty, powyrywał kraty i zamki u drzwi (kobieta ta zamykała się, jakby chciano ją zabić). Łagodność spojrzenia jednak, przeczyła gwałtowności gestów. To dlatego, że ją kochał - chciał także i ją uwolnić.

- Nie, nie ma ślepego losu! Nie ma determinizmu! Nie, twoje tycie nie jest zaplanowane przez bezduszne gwiazdy! Stałeś się igraszką złudzenia!

Złudzenia? Ja, który miałem zawsze oczy otwarte na rzeczywistość i wydarzenia, jakkolwiek byłyby trudne czy wstrząsające!

- Emanuelu! Znam i kocham twoje poszukiwanie prawdy. Czy znasz jednak tych, w których pokładasz całą swoją ufność? Niektórzy z nich są zwykłymi handlarzami śmierci, sprzedawcami złudzeń. Wykorzystują twoje

lęki, twoje upodobanie do mocnych wrażeń... Co ci proponują? Co ci narzucają?

- Rozpacz, bunt, dziwny pociąg do przemocy.

- Przyznaj sam: twoje małe idole - gwiazdy filmowe czy piosenkarze - na których przenosisz pragnienie posiadania, władzy, którzy przykuwają twoje uwielbienie... Wielu z nich wmawia ci: jesteś stworzony do śmierci! Czy oddasz im swoje pragnienie życia? Pozwolisz się sprzedać, kupić, okraść?

Powróciła mi w pamięci noc w Zgliszczach... wiesz, z walkmanem. Melodie sto razy nucone brzmiały natarczywie w uszach: „Przyszedłem do ciebie, nasz pakt jest spisany. Wziąłem śmierć ze sobą, ona pójdzie z tobą...”. A potem: „Zabij! zabij! ksiądz prowadził zgraję...”. I jeszcze: „Za ten pakt nie odstąpię cię o krok, pokonasz każdą przeszkodę, sam wskażę ci drogę, nie będziesz się bać o swój los”.

- Nie! Nic nie jest z góry przegrane! Wszystko jest do odbudowania! Nikt nie jest na zawsze stracony. Twoje życie... odpowiadasz za nie, tak samo jak za przyszłość świata. Czeka cię niezwykle życie. Jeśli zechcesz.

W tej chwili wczułem się znowu w postać, wymyśloną w każdym calu, którą byłem w ciągu jednej nocy, podczas pasjonującej „gry w role” z kumplami. Marek wszystko zorganizował. Każdy otrzymał rolę do odegrania, charakter, który powinien sobie narzucić, historię, którą miał sobie przyswoić, fikcyjną przeszłość, którą musiał przyjąć i... przyszłość! Przyszłość ściśle określoną, lub prawie. Trzeba było się w niej odnaleźć i w niej żyć. Wierzyć w nią, i w nią wejść na całego – aby przeżyć. Od początku gry, która stawała się coraz bardziej „moją” rzeczywistością, wiedziałem... Wiedziałem, że zmierzam nieuchronnie do śmierci. I to jakiej śmierci! Byłem czarną owcą historii, i wszyscy byli szczęśliwi i dumni, że mogli mnie sprzątnąć!

W tym momencie cała rzeczywistość JEGO ŻYCIA zaczęła do mnie przemawiać z łagodną stanowczością:

- Nie! Nie jesteś zdalnie sterowany! Nie jesteś robotem! Nie jesteś pionkiem na szachownicy! Wśród miliardów istnień ludzkich nie ma drugiego takiego jak ty! Słyszysz? Nie ma drugiego takiego jak ty!

Nie mógłbym wytłumaczyć dlaczego, ale wiem, że mówił prawdę! A przecież moje plany, moje oczekiwania i moja nadzieja dawno już opuściły ramiona! A wraz z nimi cała siła przebicia. Z aktora własnego życia stałem się widzem... Z twórcy i uczestnika zdarzeń, ich odbiorcą. Obojętnym lub ciągnącym korzyści. Kiedy indziej rozpaczonym, wręcz zmiażdżonym. Marek często ze mną powtarzał: „Moce Zła zatriumfowały! Nie pozostaje nic innego, jak się do tego przyzwyczaić”. Nigdy mi się nie udało do tego naprawdę przyzwyczaić...

- Oddałem życie, aby zwyciężyła miłość! I daję ci ją jeszcze raz dzisiaj. Czy zgadzasz się na nią? Czy ją przyjmujesz? Zło, nienawiść krzyczą głośno... Miłość woła łagodnie, lecz to ona trwa i przetrwa na życie wieczne! Czy chcesz powrócić na drogę Życia? Czy chcesz raz jeszcze wyruszyć drogą Prawdy? Czy przyjmujesz mnie dzisiaj jako Drogę? Jedyne, który może cię wprowadzić w niewidzialny świat Światła i

Życia? Jedyne, który sprawia, że jesteś tym, czym jesteś, tym, kim jesteś?

- Tak! Od dzisiaj moja wolność to Ty! Moja prawda to Ty! Jak kamień spadła mi wreszcie z serca jakaś trudna do określenia trwoga.

- Każdego ranka Ojciec składa twoje życie w twoje ręce. Robisz z nim to, co chcesz. Jest twoje. On ci ufa. Czy uczynisz z niego coś prostego, jasnego i prawego?

Kazał mi spalić podręczniki astrologii i magii, gry w role, które miałem w plecaku. Wziął ode mnie amulet, który nosiłem przy sobie, i zawiesił mi na szyi swój własny krzyż:

- Przyjmij ten znak, przez który pokonałem wszelkiego ducha śmierci! Znak życia i zwycięstwa.

Był wyrzeźbiony z drzewa oliwnego najlepszej jakości.

Potem udaliśmy się do szpitala psychiatrycznego, gdzie mnie leczyli na paranoję i schizo. W sali, gdzie próbowałem sobie strzelić w łeb, upadł na kolana:

- Twoja śmierć nie należy do ciebie. To sekret ukryty w moim sercu. Każdego dnia żyj tym, co ci daje przeżyć. Trwaj w pokoju. W najlepszym momencie przyjdę wziąć cię do siebie.

Następnie znaleźliśmy się w aszramie koło Bombaju, gdzie poznawałem tajniki medytacji u boku słynnego guru. Jego urok zniewolił mnie. W jego szkole miałem odkryć swoje nieśmiertelne Ja, zanurzyć się w źródle Myśli, rozpluwając w boskości. Miał mi dać poznanie, które zniweczyłoby iluzję cierpienia. Nastąpiła długa noc inicjacji, w czasie której została mi przekazana tajemna mantra. Miałem ją powtarzać długo każdego dnia, aby otrzymać błogosławieństwo w tym świecie i co więcej - nieśmiertelność ciała. Jakiś czas potem zdobyłem nowe władze: telepatii, jasnowidzenia, hipnozy... Widziałem już siebie jako swami, wtajemniczającego innych, urzekającego ich.

- Widzisz, Emanuelu, Bóg nie jest esencją kosmiczną, w której się rozpluwasz, lecz Kimś do kochania, Kimś do życia na co dzień. I w tej zażyłości stajesz się coraz bardziej sobą.

- Ach! być tym, kim jestem!

- Przed tobą życie i śmierć. Musisz wybrać. Emanuelu, czy przyjmujesz mnie dzisiaj jako jedyne, który daje żyć w prawdzie?

- Tak! Kochać Ciebie to być!

- Twoją mocą od tej chwili jest być dzieckiem Boga i przyjąć, jak dziecko, wszystkie dary Boga.

Wsunął mi do ręki sznurek z wełny, który nosił przewiązany na przegubie dłoni.

- Dali mi go rosyjscy mnisi. Przy każdym supelku lubią powtarzać: „Panie Jezu, zmiłuj się nade mną grzesznym!” To będzie modlitwa twojego serca, modlitwa ubogich, modlitwa zupełnie prosta, którą możesz powtarzać zawsze i wszędzie. Ilekroć wypowiesz moje imię, będzie to jakby mrugnięcie w moją stronę.

Teraz zrozumiałem: panowanie nad sobą, zdobyte z zaciśniętymi zębami, to jedynie oddzielająca mnie od otoczenia maska; władze uzyskane, by panować nad innymi - zniewoliły mnie pierwszego; mantra powtarzana w nieskończoność - wyrwała mnie z mojego serca, zresztą nagle w żaden sposób nie mogłem sobie jej przypomnieć. Tak jakby się rozwiązała pod wpływem Jego Imienia.

Jego Imię - do tej pory coś, nie-wiedzieć-co, dławilo mi je w gardle. Ale oto zaczęło płynąć... płynąć, jak górski strumień, nie do powstrzymania. Mówiłem „Jezus”, krótko. To wystarczało. Reszty się domyślał. A gdy zdarzało mi się dodać „grzesznik”, Jego uśmiech odpowiadał: „Moje Imię, zrozumiałeś je!”

Jakby w mgnieniu oka z bezlitosną wyrazistością zobaczyłem raz jeszcze wszystkie te chwile, w których wyżywałem się seksualnie. Tym razem - mdłości. Niszczyłem siebie i innych. Ile dziewczyn zламаłem! Nie potrafiłem się wydostać z tego bagna.

Miriam położyła mi rękę na ramieniu:

- Co ci z tego pozostało oprócz gorzkości! Czy przyjmujesz dzisiaj mojego Jezusa jako pierwszego, który może zaspokoić twoje szalone pragnienie kochania i bycia kochanym? Jesteś stworzony dla miłości, jesteś stworzony dla Niego!

- Chciałbym, aby dzieci, o których marzę, nigdy nie cierpiały na brak miłości tak jak ja...

- A więc zacznij od dzisiaj przygotowywać im ognisko, w którym czuła miłość będzie trwać przez całe życie. Buduj wierność. Nie baw się więcej tym, co jest największe, najpiękniejsze na świecie. Twoje ciało nie jest przyjemną zabawką. Jest tobą dającym się i objawiającym innym.

- To takie trudne, jak to zrobić?

- W Nim każda miłość staje się światłem.

Potem zahaczyliśmy o wszystkie te miejsca, gdzie dawałem sobie w kanał. Widziałem wielu kumpi umierających z przedawkowania.

- Chciałeś uciec od rzeczywistości, odpłynąć daleko, bardzo daleko, w fascynujący świat. Czy chcesz teraz powędrować ze mną w nowy świat?

- A gdzie jest do niego droga?

- Przed tobą.

- Dokąd prowadzi?

- Do serca twego serca.

- To znaczy?

- Do Serca Boga.

Na koniec tego przelotu przez ostatnie wydarzenia mojego życia powiedział:

- Demony zrobiły tak wielkie spustoszenie w twoim wewnętrznym ogrodzie... Dlatego, ze względu na krew wylaną za ciebie, wyrzucam te duchy kłamstwa, ułudy, śmierci, nieczystości, nienawiści. Zrywam wszystkie więzy, które cię z nimi łączą. Zwracam ci wolność dziecka Bożego. Przywracam cię sobie samemu.

I raptem poczułem, że puszcza ten zdradziecki lęk dławiący jak ośmiornica, której macki w końcu cię duszą: lęk przed dniem wczorajszym, przed jutrem, przed samym sobą, przed innymi, przed Bogiem, lęk przed własnym lękiem.

Spotkaliśmy się potem w dniu, w którym przeglądając starą gazetę dowiedziałem się o śmierci mamy w wypadku samochodowym. Okropny wstrząs: miałem zamiar pójść się z nią zobaczyć, przeprosić ją, a teraz za późno, raz na zawsze za późno!... Jak naprawić zło, które jej wyrządziłem?

- Emanuelu, czy powierzysz mi swoją mamę? Ona jest teraz w Radościach. Spotkała mnie tam. Wszystko ci przebaczyła. Kiedy jesteś przy mnie, jesteś przy niej. Kiedy mnie słuchasz, możesz do niej mówić. Możesz dzisiaj poprosić ją o przebaczenie. Dzisiaj kochać ją tak, jak nie mogłeś wcześniej. Niczego nie żałuj, odnajdziecie się jutro. Nie jesteście naprawdę rozłączeni.

Fakty, które teraz opiszę, nigdy nie żyły w mojej pamięci. Nazbyt bolesne, zawsze tłumione, drzemały w odległych zakątkach mojej krainy, a oto teraz zostały obudzone przez małego Pasterza. Dosyć często psychologowie, do których mnie posyłano, starali się wyłowić moje wczesne dzieciństwo z głębin podświadomości. Co prawda pomogli mi trochę, ale nigdy nie zeszli tak daleko. A poza tym wzbudzało to zawsze okropne lęki. Z Jezua żadnego strachu. Bardzo zwyczajnie, spokojnie. Pod warunkiem, że widzi się wszystko Jego oczyma, oddaje wszystko Jego rękoma.

Schodził więc w dół mego życia, tak jak się schodzi w dół rzeki.

W domu był ciągły krzyk. O byle co. Kiedyś, przez otwarte drzwi kuchni usłyszałem: „Jakże nam ten szczeniak zawadza! Ilu rzeczy nie możemy przez niego zrobić! Mówiłem ci, że go nie chcę! O jednego za dużo! Za bardzo obciąża kieszeń!”

Długo, długo biegłem ulicami, mając nadzieję, że wpadnę pod jakiś samochód i że zaczną mnie wszędzie szukać. Widziałem ich obejmujących moje ciało: „W gruncie rzeczy to był dobry dzieciak!”... Ale w końcu, kogo by to obeszło?

- Dla mnie się liczysz! Bardzo! Bardzo! Nie mogę bez ciebie żyć. Jesteś dla nas niezastąpiony. Ileż będę mógł dzięki tobie zrobić!

Innym razem - miałem cztery czy pięć lat - matka zawiozła mnie z moją starszą siostrą do dalekiej ciotki: „Wróć po was dzisiaj wieczorem”. Czekaliśmy, czekaliśmy do późna w nocy. Za każdym odgłosem kroków mówiliśmy sobie: „To ona!” Ale to nigdy nie była ona. Nie widzieliśmy jej wiele lat. Stara ciotka krzyczała: „Ona was nie chce, to wasza wina, byliście zbyt nieznośni!”

Przez mgnienie oka widzę siebie tam, w małym pokoju, czekającego bez końca, bez końca. A oto teraz Miriam zatrzymuje się i mówi zwyczajnie:

- To ja!

Odkąd przyszła tak, aby wyrwać mnie z tego i przyprowadzić z powrotem do mnie, to znaczy do Niej, zniknął gdzieś ten chorobliwy strach przed zamknięciem w pokoju i niemożność zaufania.

Potem mój dziecinny pokój: poddasze z małym oknem. Którejś nocy zostawiono mnie samego. Obudzony brutalnie przez czarną postać dyszącą nad kołyską, krzychałem z przerażenia przez wiele, wiele godzin. Nikogo! Czyżby moi rodzice umarli?

Wtedy Miriam wzięła mnie na kolana, kołysała, opowiadała różne historie, a kiedy w końcu zacząłem się śmiać, to Ona zdawała się płakać powtarzając: Emanuelu! Emanuelu!

Teraz nie boję się już psów i ciemności i myślę, że mógłbym żyć bez lęku w miejscu tak pustynnym jak to.

Myślałem, że to już koniec tej dziwnej podróży, ale Pasterz powiedział:

- Trzeba zejść jeszcze dalej. Nie pamiętasz tego, ale ja pamiętam.

Zaprowadził mnie do kliniki położniczej w Zdroju.

- Kiedy się tutaj urodziłeś, wyrwano cię mamie. Zostałeś brutalnie umyty w sali otwartej na zgiełk ulicy. Cały drżałeś z zimna i strachu. Teraz możesz się już o tym dowiedzieć: nie byłeś noszony z miłością, twoja matka wstydziła się. Musiała też ciężko harować. Chciała usunąć ciążę, wołałaby cię nie mieć...

Jezua bierze moje ręce i wsuwa je w dłonie Swojej Matki. I w Jej oczach widzę, że Bóg mnie pragnął od zawsze, od zawsze o mnie myślał. Od poczęcia Jego wzrok otaczał mnie czułością.

- Chciałbym was powierzyć sobie nawzajem. Jesteście stworzeni, by się rozumieć. Uzdrowiłem Ją zawczasu. Nie upadła: poprzedziłem ją, aby usunąć każdy kamień z Jej drogi. Dlatego właśnie jest zawsze taka piękna, taka młoda. Dlatego między Nią i tymi, którzy się rodzą z twoim wirusem, istnieje tajemnicze porozumienie. Żyjąc z Nią razem, zrozumiesz.

Podczas tej podróży do mojej krainy zobaczyłem raz jeszcze, jednego po drugim tych, którzy mnie odrzucili: Pawła, który żył z mamą i mnie od niej oddzielił, starą ciotkę Iwonę, która kazała nam jeść samotnie w kuchni, Henryka, który doniósł na mnie policji, no i przede wszystkim Klarę, moją Klarę, za którą tak bardzo szalałem (zanim poznałem Sylwię). Nie powiedziałem nic o tym Pasterzowi, za bardzo mnie to jeszcze bolało... ale wszystkiego się domyślił. No i mój prawdziwy ojciec, którego nigdy nie znałem. Raz jeden mama mówiła mi o nim. Miałem do niego śmiertelny żal za to, że ją tak zostawił.

Pasterz wskazywał mi ich kolejno, i o każdym mówił: „Ja go kocham!” Bałem się spojrzeć im w twarz. A przecież nie robili mi już wyrzutów, nie nabijali się ze mnie. Mówili tylko jedno zdanie, jedno zdanie, którego w ich ustach nigdy nie słyszałem i które nigdy nie wyszło z moich: „Czy wybaczasz mi?” Dziwna rzecz - były to bez wątpienia ich twarze, lecz nie ich głosy. Wsłuchując się uważniej, kogo słyszę?... Pasterza! Ależ tak! Jego własny głos. Tak dźwięczny, że można by go rozpoznać wśród tysiąca. To On prosił o przebaczenie w imieniu każdego z nich. Tak tym byłem przejęty, że sam do mnie podszedł i po chwili wahania szepnął mi cicho na ucho:

- Tak, czy chcesz mi wybaczyć?
- Ale co wybaczyć?
- Całe zło, które ci wyrządzono.
- Ale to nie Ty, to...
- Oni, ja wiem. Ale jeżeli wyrządzili ci krzywdę, to czy sami nie zostali skrzywdzeni? A w nich ja cierpiałem.
- Ale Ty, Ty nie odpowiadasz za ich grzechy!
- Czy mogę ci jeszcze coś powierzyć? Kiedy Paweł wracał pijany i cię bil, kiedy koledzy z klasy wyśmiewali się z twojego jąkania i z tego, że byłeś zawsze ostatni, kiedy pierwszy szef wyrzucił cię za drzwi podejrzewając, że go okradłeś, kiedy lekarze, sędziowie nie traktowali cię poważnie - wszystko to bolało mnie bardziej, o wiele bardziej niż ciebie. Każdy wstrząs twojego życia odbijał się w moim ciele, ponieważ uderzał w serce Ojca.
I stał tak, czekając na przebaczenie dla każdego z nich. Chciał otrzymać je z moich rąk.
- Ale jak chcesz, żebym zapomniał nawet obelgi, nawet oszczerstwa, nawet... odrzucenie, nawet...
- Prosząc ich o przebaczenie.
- Ja, prosić ich o przebaczenie? Tych tchórczy?
Wtedy wtrącił się Jan:
- Czy wiesz, co usłyszałem, gdy przybijali Go do drzewa oliwnego? „Ojcze, to moi przyjaciele. Oni cierpią bardziej niż ja. Oni nie zdają sobie sprawy!” Na nic zdał się krzyk żołnierzy. Jego głos mknął jak strzała, w samo serce Boga. I Bóg zaczął ich kochać, jestem tego pewien.
Słowa te przemówiły do mnie. Każdemu z nich upadłem do nóg:
- Wybaczasz mi, prawda?
Gorycz, urazy, obsesja wyrównywania porachunków, cała ta zatęchła woda nagle się ulotniła. Niewiarygodny pokój!
Tak więc zatrzymywaliśmy się w tych różnych miejscach, gdzie moje życie wyskakiwało z torów. Ale muszę jeszcze powiedzieć, jak zabierał się do tego, by mnie leczyć. Za każdym razem pochylał się nade mną, a wtedy rana zapomniana od dawna odbijała się w Jego oczach. I to, czego nie mogłem powiedzieć wówczas, mówiłem teraz; „Tutaj, Jezu, uzdrów mnie!” Do każdej rany spływała z Jego ręki kropla krwi, czysta, jak źródło.
- Transfuzja!
- Jeśli rany są do tego stopnia zakażone, to znaczy, że krew jest anemiczna. Potrzebna jest nowa krew.
- Jeszcze trzeba mieć tę samą grupę krwi!
- Mamy tę samą!
--Ale Ty swoją krew musisz zachować także dla innych!
- Ona się nie wyczerpie. Twoje serce bije tylko po to, by ją przyjmować. Moje - by ją dawać. Oto, co ci proponuję: dasz mi swoje rany, a ja oddam ci moje.
- Jak to?
- Ofiarujesz mi rozczarowania, upadki, niesprawiedliwości, przegrane twego życia.
- Co się z nimi stanie?

- Biorę, je na siebie. Już do ciebie nie należą.
- Co na tym zyskuje?
- Oddaję ci je, ale przemienione w rany miłości.
- W rany miłości? Jak RANA może pasować do MIŁOŚCI?
- Zostały kiedyś zadane przez tych, którzy cię nie kochali, teraz otrzymujesz je ode mnie, a ja kocham cię, jak nikt nigdy nie będzie mógł cię pokochać. Dzięki temu nie będą już bolesne.
- I moje rany staną się tak samo piękne jak twoje?
- Tak samo piękne, chyba że... twoje serce odrzuci je jak obce ciało...
- A więc trzeba mi będzie zrobić przeszczep serca?
- O tym właśnie dla ciebie myślałem. Jest to jednak operacja, której nie można zrobić w jednej chwili. Trwa całe życie. Aby zrobić przeszczep, potrzebne jest nacięcie z obu stron. Z mojej od dawna jest już gotowe i czeka na twoje...

Podciągnął poncho pod szyję, zawahał się przez chwilę, rozpiął koszulę: na piersi, po prawej stronie, czerwony gwiazdzisty kwiat... szeroka rana. Bez słowa zaprosił mnie, abym włożył w nią rękę. (Zob. J 19, 34; 20,27)

Jak bardzo była głęboka! Nie śmiałem dosięgnąć dna. Z pewnością płonął w niej ogień.

- To drzwi twego serca!
- Kiedy zostały otwarte?
- W pewien piątkowy wieczór.
- Taki jak dzisiaj?
- Taki jak dzisiaj.

A więc te wszystkie rany na nogach, rękach, wszędzie, nie wystarczyły?

- Czy mogły wystarczyć, by wykrzyczeć to, co nosiłem w sercu największego, najpotężniejszego? Powiedziałem sobie: „Chociaż to słowo przemówi samo przez siebie. Nie będzie go można podważyć, czy też zniekształcić tłumaczeniem. Będzie jasne od razu, wystarczy spojrzeć. Przemówi wszystkimi językami ziemi”. Wybacz, ale nie mogę ci powiedzieć nic więcej, nic innego...

- A co tak prostego, tak mocnego chciałeś powiedzieć?
- Zło złamało serce mojego Ojca, serce Boga.
- Bóg... to Twój Ojciec?
- Bóg, to mój Ojciec.
- Jesteś Dzieckiem Boga?
- Jestem Dzieckiem Boga.
- Mój Bóg to Ty? Naprawdę Ty?
- Powiedziałeś to!

- Ty, mały pasterz grający na flecie dla dzieci z Zawieji, szukający zwierząt na górskich pastwiskach Złej Śmierci, włączający się po dyskotekach Zgliszcz, Ty, którego ludzie przywiązali do drzewa, żebyś już nie wołał swoich owiec, Ty, który zachowałeś otwarte ramiona, by mogły Cię odnaleźć na drzewie oliwnym, Ty, który przed chwilą tak bardzo pragnąłeś... a więc to Ty jesteś moim Bogiem i moim Królem?

- To jest mój własny sposób bycia Bogiem i Królem.

- W takim razie krew, która przed chwilą spłynęła z Twojego serca do mojego, to krew Boga, krew Króla?

- Krew Boga, krew Króla.

- Ale jeżeli mamy tę samą krew, to musimy mieć tego samego Ojca!

- Po to właśnie przyszedłem, by ci Go dać, by dać ci mojego Ojca!

- Dać mi Twojego Ojca?

- Jest Twoim Ojcem od zawsze. Nie wiedziałeś o tym. Teraz już wiesz. Na zawsze.

- Boga za Ojca! Boga? Boga samego? Boga, o którym mówią, że wymyślił niebo i ziemię? Boga? Boga?

- Boga, który wszystko stworzył, niebo i ziemię... Czy rozumiesz teraz swoje imię?

- Co ono znaczy?

- Razem-Bóg-i-my.

- Twoje pierwsze imię...

- I dałem ci je.

- A więc do Boga będę mógł mówić Tato? Tak jak Ty?

- Tak jak ja, ze mną.

- Gdybyś wiedział, jaki to był szok, gdy w dziesiąte urodziny człowiek, któremu mówiłem tato, wypalił gwałtownie: „Przecież ty wcale nie jesteś moim bachorem! Twój ojciec to szmata!” Od tej pory ilekroć słyszę to słowo, jestem wstrząśnięty.

- Wiem, wiem... Przeszedłem przez agonie – przez twoją agonie - by oddać ci ojca, by dać ci mojego Ojca. Przeżyłem nawet chwilę, w której niemożliwe było powiedzieć Mu Tato. Jakby uwięzło w gardle. Pozostało tylko „mój Boże!” tak jak wtedy, gdy już nie starcza sił. (Zob. Mt 27, 46; Mk 15,34)

- Odpowiedział Ci?

- Nie mówił już nic.

- Byłeś jak sierota?

- Tak. Nie było przy mnie nikogo. Sam, zupełnie sam... niczyjej ręki w mojej.

- ...nawet przyjaciół?

- Nawet przyjaciół.

- A więc mamy trochę podobne życie?

- Chciałem przejść przed tobą drogę, którą przejdiesz pewnego dnia.

W ten sposób miałem pewność, że cię gdzieś spotkam.

- A kiedy byłeś zupełnie sam, co wówczas robiłeś?

- Szedłem dalej w ciemnościach, abyś któregoś dnia przestał być sam, byś stał się ufny jak ja, jak małe dziecko.

- Być ufnym, to znaczy co?

- Mówić Bogu: nie rozumiem, ale jestem Ciebie pewien.

- A Ty, skąd masz zaufanie?

- Powiedziałem „Abba!” W języku mojego kraju to znaczy „Tato!”

- Powiedziałeś to na wzgórzu?

- Tak. Poprzedniej nocy, w dolinie pełnej oliwnych drzew. Księżyc błyszczał między gałęziami. Ilekroć je widzę, myślę o tamtej nocy. (Zob. Mt 26,36; Mk 14,32 - 42; J 18,1)

Miriam, dotychczas milcząca, odezwała się:

- Emanuelu, chciałabym cię o coś prosić... Gdybyś dziś wieczorem zrobił dla Jezusa to, co On zrobił dla ciebie? Gdybyś ty teraz przeszedł drogami Jego życia. Opatrzył Jego rany, wszędzie tam, gdzie zadano Mu ból.

- Ale On, On jest lekarzem!... a ja jestem jeszcze taki słaby!

- Tylko ten, kto zadał ranę, może ją uleczyć. Za chwilę zrozumiesz.

Teraz z kolei Jezua uklęknął na środku. Trwał tak przed nami, jak w ogrodzie, o którym przed chwilą mówił. Jan położył Mu rękę na czole:

- Musi mieć niezłą gorączkę!

- Ta gorączka nigdy nie mija.

Po tych słowach Miriam otoczyła prawym ramieniem plecy Pasterza, tak jak się dodaje otuchy dziecku. Staralem się powiedzieć „Jezua” z taką jak Ona czułością. Płynęły łzy, lecz nie te co wczoraj, nad moim życiem zmarnowanym - łzy nowe, nad Jego życiem ofiarowanym.

Potem, kiedy przyszły gliny, żeby założyć Mu kajdanki, poszliśmy z Nim aż do celi, w której był torturowany. (Zob. Mt 27,27; Mk 14,65; Lk 22,63; J 19,1 – 3) Jednak nic nie zdołało Go zmusić do mówienia. Potem do miejsca, z którego widział, jak w oddali Jego przyjaciel powiesił się na drzewie. (Zob. Mt 27, 5) Potem do sądu, gdzie nikt, nikt nie odważył się stanąć w Jego obronie. Wszyscy przyjaciele zwiali (zrozumiałem, jak mógł tak świetnie wczuć się w mój proces).

Następnie Miriam poprowadziła mnie poprzez wzgórza swojego kraju - jak mówiła, kraju Ewangelii. Po drodze miejscowość, w której možni chcieli Go zlinczować. (Zob. J 8,59) Trochę dalej dom, gdzie kuzyni potraktowali Go jak kogoś, kto „powinien się leczyć”. (Zob. Mk3,21)

Gdzie indziej przepaść, w którą ludzie z Jego miasteczka chcieli Go strącić. (Zob. Łk 4,29) Brzeg jeziora, gdzie przyjaciele mieli Go dosyć i odeszli. (Zob. J 6,66) I wiele innych miejsc.

Ale opisanie tego zbyt długo by trwało. Potem stolica:

Tutaj czuł się rozdarty: z jednej strony chciał być całkowicie dla Ojca, a z drugiej nie zranić nas, rodziców. Miał dwanaście lat.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Właśnie o to Go spytałam. Odpowiedział mi tym samym: dlaczego? (Zob. Łk 2,49)

I zrozumiałem, że wszystkie te dlaczego, które rzucałem o skalną ścianę Bez duszy przeszły Jego pierś, zanim wyrwały się z mojej.

W końcu przeszliśmy przez miasteczko, w którym się urodził.

- Nie było nikogo, kto by Go przyjął. (Zob. Łk2,7) Nie chciano Go. Musieliśmy uciekać w środku nocy, za granicę, w kierunku obozu dla uchodźców. Zmasakrowano dzieci. Z Jego powodu. Potem się o tym dowiedział. (Zob. Mt2,16) (Zrozumiałem, co chciał powiedzieć wczoraj wieczorem małym dzieciom, które Mu przyniesiono.)

Teraz z kolei do rozmowy wtrącił się Jan:

- Widzisz, nie ma biedy, w której by cię nie poprzedził i w której by na ciebie nie czekał.

- A ja myślałem sobie: „Bóg, On nie może zrozumieć. On nie wie, co to znaczy!”

- Nikt nie zszedł tak głęboko w twoje serce.
- Powiedz mi, jak to zrobić, aby dalej opatrywać Jego rany?
- Najnędzniejszy z twych braci to On. Gdy widzisz go, widzisz swojego Boga.

- To On? A więc ilekroć splawiłem jakiegoś nędzarza...
- Splawiłeś Boga! (Zob. 25,31 – 43)
- Ale On, On jest przecież ponad to! On niczego nie potrzebuje!
Znowu odezwała się Miriam:
- Najmniejsze rzeczy dla Niego wiele znaczą. Nawet uśmiech się liczy, wiesz!... Chodź, przejdziemy razem przez te chwile, w których Go zasmuciłeś. Kiedy grał na flecie, a ty nie chciałeś tańczyć (czyżby była pod arkadami Zawieji?). Kiedy Jego wyciągniętej dłoni nie wzięłeś w swoją (czyżby była również w kościele w Dolinie Króla?). Kiedy podarował ci kwiat, a ty go wyrzuciłeś.

Wszystko mi się przypominało. Ileż miejsc, gdzie zostawiłem Go samego, czekającego rozpaczliwie na kogoś... na kogoś, kim byłem ja.

I nagle zrozumiałem, że obojętność i wzdargę, które tak bardzo bolały mnie u innych, okazałem Jemu. Czy nie odpłaciłem Mu tą samą monetą, którą mi rzucił tamten zapędzony facet? Ileż razy odwracałem głowę i obierałem drogę na przelaj? Ale... ja nie wiedziałem, że to On!

- Ilekroć nie umiałeś, nie chciałeś podać małego kubka miłości ubogiemu w nadzieję, wówczas On pozostał spragniony. Czy znamiona na Jego ciele nie są głębsze od tych w twoim sercu?

Uklęknąłem, pochylając czoło ku ziemi:

- Zapomnij, zapomnij!..

- Wszystko ci zostało wybaczone, bo sam wybaczyłeś.

Wstałem i, zamykając oczy, poczułem na powiekach Jego wilgotne palce, i znów usłyszałem Jego głos, spokojny i ciepły:

- Abba! poświęcam Ci te oczy, obmyj je, niech otwierają się już tylko jedynie po to, by się zachwycać. Niech dostrzegają, jak jesteś piękny na twarzach braci! Niech w każdym widzą zranione dziecko, którym jest dziś i już teraz króla w chwale, którym będzie kiedyś.

Nagle rozbrzmiało:

- Amen!

Śliną dotknął moich uszu:

- Abba! Poświęcam Ci je. Zamknięte na wszelki siew śmierci, niech otwierają się na Twoją ciszę. Niech gra w nich muzyka radości!

- Amen!

Położył trochę soli na moich ustach:

- Abba! Błogosławię Cię za. te usta, z których nie wyjdzie już żadne słowo, które brudzi lub rozdziera. Będą wzywać do szczęścia! Będą śpiewać Twoje piękno!

- Amen!

Wziął moje ręce, złożył je razem:

- Abba! Te ręce są odtąd Twoje. Będą się otwierać już tylko jedynie po to, by przyjmować i ofiarowywać. Będą się wznosić już tylko po to, by

Cię głosić i błogosławić. Moje ręce cieśli i pasterza, moje ręce, które się modlą i pracują, dajesz jemu. Dziękuję Ci bardzo, Ojcze!

- Amen!

Dotknął moich stóp:

- Ojcze! Niech już nie chodzą ku miejscom zatracenia, lecz Twoją ścieżką, ku Tobie. Niech staną się piękne, przebiegając wzgórzami, by głosić ubogim Dobrą Nowinę! (Zob. Iz 52,7)

- Amen!

Objął moją głowę Swymi rękoma:

- Ojcze! Niech myśli o wszystkich tych miejscach, gdzie się poranił, już tylko jedynie po to, by Cię błogosławić. Daj mu nową pamięć, pełną cudów, jakie w nim uczyniłeś. Oczyść jego wyobraźnię z tego wszystkiego, co by mogło zmącić pokój, który mu dzisiaj daję.

- Amen!

Kreśląc mały krzyż na moim czole:

- Abba! Przyjdź uleczyć jego umysł, zraniony przez zbyt wiele usłyszanych błędów, wolę osłabioną przez zbyt wiele wątpliwości. Niech wszystkie jego myśli wypływają z Ciebie i płyną ku Tobie! Niech będą diamentami, mówiącymi: Jak uważasz! Jak chcesz!

- Amen!

Pochylił się nade mną i tchnął we mnie, a raczej zaczął głęboko oddychać.

- Emanuelu, przyjmij to tchnienie, bez którego nie możesz żyć. Oddychaj nim.

Zaintrygowany, przerwałem Mu:

- Robisz ze mną to samo, co zrobił z Tobą Ojciec, kiedy przyszedł obudzić Cię przed świtem?

- Prawie! Oddychając zanieczyszczoną atmosferą zatrąłeś się, tak jak kwiat pozbawiony powietrza. Ale tchnienie, które ci daję, to orzeźwiający powiew szczytów.

- Jakie tchnienie?

- Duch Święty.

- Kiedy chodziłem na religię mówiono nam, że na chrzcie otrzymuje się Ducha Świętego.

- Tak, Ojciec już ci Go dał. Był to jednak żar przysypany popiołem. Od tego tchnienia ogień rozпали się na nowo.

W końcu wziął mnie za ramiona i ściskając mocno:

- Ojcze! Uczyń z tego ciała dom, gdzie będziesz chętnie przychodzić, aby odpocząć, kaplicę, gdzie rano i wieczorem rozbrzmiewa śpiew.

Po czym dał mi mały obrazek rodzinny, który objaśnił mi rano, gdy podchodziliśmy pod zbocze Miłochwała.

- Weź go. Patrz na niego. Po chwili powie ci: „ Teraz zamknij oczy”. Wnikniesz w głąb swego serca: właśnie tam mieszkamy, tam na ciebie czekamy. Tam jesteś zawsze zaproszony, zawsze przyjęty.

- Moje serce to Radości?

- Twoje serce to Radości.

Podnosząc się, z jakimś uroczystym i królewskim majestatem:

- Czy chcesz, bym był twoją radością, tak jak jestem radością Ojca?
Bym był dla ciebie wszystkim?

- Tak, chcę.

- Oto moje życie w twoich rękach. Uczyni ze mną, co zechcesz.

I to On mówił te słowa do mnie!

Cofnął się parę kroków, jak robią malarze, gdy chcą rzucić okiem na całość:

- Jaki jesteś piękny!

Nikt mi nigdy czegoś takiego nie powiedział. Nikt mnie nigdy nie pocałował. Przez to oparzenie na policzku, ileż razy słyszałem: „Jaki ten dzieciak jest brzydki!” W końcu zacząłem się wstydzić swojej zniszczonej twarzy. Nie śmiałem się pokazać, nie śmiałem być. To była obsesja: nigdy nie być widzianym twarzą w twarz.

- Spójrz mi głęboko w oczy!

Widziałem się w nich jak w zwierciadle. To prawda, że byłem piękny. Piękno dziecka, które wie, że jest kochane. Kochane takie, jakie jest. Nie mimo ułomności, ale dla nich. Wystarczył jeden pocałunek Jego oczu.

- Teraz, gdy tylko ktoś cię zobaczy, pozbędzie się smutku.

Najdziwniejsze - moje rany były odkażone, zupełnie czyste, zupełnie jasne!

- Twoje serce jest jak waza rozbita na tysiąc kawałków, spojona półprzeźroczystym klejem. Zapala się w niej świeca, i oto pęknięcia błyszczą jak perły.

- Co to jest perła?

- Łza zranionej muszli... Zszedłem na twoje dno, by ją złowić i ofiarować Ojcu.

- Moje rany, dlaczego je zostawiasz otwarte? Przecież lekarze zasklepiają je, aby nie pozostał po nich żaden ślad. Chyba nie kończyłeś chirurgii plastycznej!

- Otwieram je coraz bardziej, aby mogło w nie spłynąć coraz więcej miłości...

- Jak rzeka?

- Na tych wszystkich, których ci dam do kochania.

- A Ty, dlaczego zachowałeś ślady gwoździ?

- To najpiękniejsze wspomnienie z podróży przez wasze wzgórza. To, które nieustannie przypomina Ojcu, że nie zatrzymałem się, póki cię nie odnalazłem. Twoje rany, zachowasz je na zawsze... Miłość, ona trwa zawsze, zawsze...

Raptem wyrwało mi się jakieś słowo. Przychodziło z bardzo, bardzo daleka:

- Alleluja! Alleluja!

Słyszałem je u tych młodych ludzi modlących się na ulicy i oto tej nocy zostało mi dane, zupełnie świeże, zupełnie nowe.

- Co to znaczy? to brzmi tak jasno!

- Właśnie to: „Być jasnym”. I jeszcze: „Chwalcie Pana!”. Teraz, kiedy przebaczenie zostało dane i przyjęte, już nic nie przeszkodzi mu rozbrzmiewać!

Chciało mi się śmiać, skakać, przewracać na trawie. Zacząłem improwizować: „Przyszedłeś do mnie, Ty, źródło szczęścia!” Przygrywał mi na flecie. Świetnie dostrojony do mojej gitary, tak jak poprzednio do głosu Miriam. Kto taki tej nocy założył na niej nowe struny?

Nasze granie obudziło całą rodzinę. Schodzili się, jeden po drugim. Tańczyliśmy, tańczyliśmy!... Straciłem farandolę dzieci w Zawieji, teraz została mi zwrócona. Gdybym mógł tak tańczyć całą noc i jeszcze jutro, i przez wszystkie dni i noce mego życia!

- Och, dziękuję! że pozwoliłeś, bym ci towarzyszył na drogach twego życia! Dziękuję., że pozwoliłeś, bym otarł twoje łzy!

I w dodatku z nas dwóch, to On był bardziej szczęśliwy!

Ten szybki przelot po mojej i Jego krainie wprowadził nas w serce nocy. Czas ten jednak nie miał godzin.

Miriam: - Piątki to trudne dni! Macie prawo do odpoczynku, wkrótce czeka was znów długa droga.

Wdrapaliśmy się do stodoły nad owczarnią. Było zimno. Zaszyliśmy się w sianie:

- To chyba jest tak jak w Boże Narodzenie. Mama mówiła mi, że były zwierzęta, które nas grzały i paru koźlarzy grających na flecie... I w niebie pełno aniołów...

- Co to są anioły?

- Wytłumaczę ci jutro.

Pasterz zasnął pierwszy. Z pewnością był najbardziej zmęczony. Nie mogłem oderwać oczu od tej twarzy dziecka. Mój Boże, jakże był piękny! Oddychał łagodnie. Przy każdym wdechu zdawało .mi się, że słyszę: „Ojcze, Ojcze, Ojcze...”

Jego sen był zaraźliwy. A mój spokojny, jakiego nie znalazłem od wielu miesięcy. Jego modlitwa była warta tyle co najlepszy środek nasenny.

Miałem sen: rozjuszony niedźwiedź pustoszył okolicę. Szedłem ku niemu przez pole, okalające gospodarstwo. Ludzie, skupieni na brzegu lasu wołali, żebym wrócił. W chwili gdy, stojąc na dwóch łapach, chciał mnie pożreć, spojrzałem mu w oczy i powiedziałem: „Miriam”! W jednej chwili spojrzenie wypełniła mu wielka łagodność, nadając twarzy ludzki wyraz. Staliśmy się na zawsze przyjaciółmi.

Teraz, czego miałbym się bać?

Powiedz mi, kogo miałbym się bać?

Dzień trzeci

- Zbudź się, moja Jutrzenko!

Było jeszcze ciemno, gdy zabrzmiał głos Miriam. W jednej chwili Jezua wstał i wyciągnął ręce ku niebu:

- Oto jestem, Ojczy! Moje serce jest gotowe, by Cię kochać! (Zob. Ps 57, 8-9)

I odwracając się do mnie:

- To było trochę tak jak dziś, tej nocy, kiedy wstałem w pełni światła, wyrwany na zawsze ze snu śmierci.

Dzień zaczynał przenikać poprzez pęknięcia w murze. Jednakże przepojony jakimś dziwnym odcieniem. I w powietrzu było coś niezwykłego. Jan, który wyszedł pierwszy, wykrzyknął zdziwiony:

- Śnieg! Śnieg!

Pierwszy w tym roku! A więc, podczas gdy Pasterz podróżował przez moje życie, spadł śnieg, nikogo nie uprzedzając, nie mówiąc nic nikomu, ot tak, dlatego tylko, że go lubię. I On pewnie także.

W progu Miriam położyła ręce na ramionach Jezuy:

- Idź! Idź, oni na Ciebie czekają! To dla nich wydałam Cię na świat.

Zrobili sobie nawzajem krzyżyk na czole. Poprosiłem Miriam o taki sam.

- Dziękuję, że pozwoliłeś się pokochać tak, jak chciał cię pokochać. Dziękuję, że Go przyjąłeś do siebie! Dziękuję, że jesteś do Niego podobny!

- To ja powinienem Cię błogosławić za to, że nam Go dałaś. Gdyby nie Ty, nie byłby Tym, kim jest. Za krew, którą Mu dałaś i która mnie uzdrowiła, dziękuję. A także... za kolor Twoich oczu, Jego oczu.

Pierwszi szliśmy po świeżym śniegu. Nikt nie śmiał zmacić zimowej ciszy. Parę godzin i cała kraina zyskała na wysokości. Te same drzewa oliwne, te same domy, ta sama ścieżka, a przecież inny świat. W mojej krainie wszystko było nowe. Grzbiety zlewały się z białymi chmurami. Gdzie kończyła się ziemia? Gdzie zaczynało niebo?

Bezduza

- Czy naprawdę nie można zostać z twoimi przyjaciółmi? Jeśli nie ma miejsca, zbuduję sobie szałas...(Zob. Mt 17,4; Mk 9,5)

- Żeby być tułaj tak jak oni na stałe, trzeba przejść drogą, gdzie, szczęście się chowa, gdzie się płacze. Święto zbiera się jak owoc przebytego życia. A owoc dojrzewa w zgodzie ziemi ze słońcem. Przed zebraniem plonów trzeba poznać grudniowy mróz i kwietniową zawieruchę, wyzwalającą zasiew...

- Spotkamy się wszyscy dopiero w Radościach?

- Miedzy moją i twoją krainą granica jest już zniesiona!

W górze można było odgadnąć zarysy osad, okrytych grubym, białym płaszczem. Z pewnością były pozbawione elektryczności i telefonu. Kompletnie odcięte od reszty świata. Czy tegoroczna zima będzie tak samo straszna jak dwa lata temu, gdy tylu ludzi umarło z zimna?

- Tak, życie może wisieć na włosku... Na włosku modlitwy, która nas łączy ze spojrzeniem Boga, gorącym i światłem, siłą i życiem. Popsuty bezpiecznik może wszystko sparaliżować.

- To znaczy?

- Odmowa przebaczenia to popsuty bezpiecznik. A spięcie może sprowadzić śmierć.

- O czym mówisz?

- O grzechu.

- Co to właściwie jest?

- To, co powoduje krótkie spięcie miłości, odcina prąd życia, spycha poza nawias braci, podminowuje szczęście, zaciemnia spojrzenie, wykrzywia twarz, dławi radość, gwałci twoje serce.

Jakaś radość unosiła moje kroki. Nie brakowało mi ani kompotu, ani trawy. Nie miałem nawet chęci na skręta! Nie myślałem już o tym. I jak gryzący dym rozwiały się obsesje seksualne.

Uschłe gałęzie pękały pod ciężarem śniegu. Inne pochylały się głęboko, by nas powitać. Szeptaly: - Podaj nam rękę. Przedstaw nas Bogu! A ja nad każdą mówiłem: - Jezus! I słyszałem: - Dziękuję, że przywracasz mi świetność, jaką miałam wychodząc z rąk Boga. Odpowiadałem: - To ja dziękuję ci, że mówisz mi o Jego Pięknie!

Miał rację mój Pasterz: „Będziesz jak mały książę”. To prawda, czułem, jak we mnie płynie królewska krew! I serce, i ciało były razem szczęśliwe.

Każde istnienie zdawało się mówić Mu tyle rzeczy. Mówił ich językiem. Tak jak mówił językiem mojej krainy. Z miejsca się zrozumieliśmy.

- Jesteś starszym bratem -wszystkich stworzeń. Wiewiórki, która wspina się po korze brzoź; modrzewia, który zmaga się z zimnem, by zachować utkane złotem odzienie; aksamitnego szronu okrywającego białą liście... Nie trzeba im sprawiać zawodu. Czekają na głos, którego ty jeden możesz im użyć.

- Co chcą powiedzieć?

- Słowo „Ojciec”, które ci powierzyłem. One również mają do niego prawo. Ze wszystkich odgłosów życia, jak z niezliczonych nut, możesz zrobić symfonię.

- O! Gdy miałem dziesięć lat marzyłem, żeby zostać dyrygentem orkiestry!

- I Bóg marzy o tym dla ciebie! Bez ciebie tysiące instrumentów muzycznych pozostałoby głuchych i smutnych...

- Jak moja gitara, którą zostawiłem u Sylwii.

Jego poranna modlitwa jest prosta - trzy gesty i sześć słów. Stoi wyprostowany, otwiera powoli ramiona i śpiewa:

- Wszystko przyjmować!

Pochyla się nisko, szerokim gestem tego, który podnosi snop zboża:

- Wszystko zbierać!

Wznosi ramiona coraz wyżej jak cyprys wyciągnięty ku niebu:

- Wszystko ofiarować!

Kilka chwil trwa tak, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi. Wtem podbiega do nas Szymon, cały zadyszany:

- To tutaj jesteś? Wszyscy Cię szukają! Chodź szybko, szybko do wsi! Czeka na was praca!

Znowu ruszamy w drogę. Słońce w końcu przebija się przez chmury: śnieg się nie utrzyma! Pasterz odgaduje moje rozczarowanie:

- Tak, rzeczy najpiękniejsze są najbardziej kruche. Jednak nic już nie będzie tak jak przedtem. Po tych miesiącach suszy śnieg sprawi, że łąka znów zakwitnie. Z wiosną wiciokrzew stanie się radością koźląt. I tego lata fontanna w miasteczku nie wyschnie. Do twego źródła przyjdzie wielu, by ugasić pragnienie.

Okolo dziewiątej zbliżamy się do niewielkiej miejscowości. Nie omijamy już wsi i miasteczek tak jak wczoraj. Przy wjeździe tablica: Bezduza.

Na placu, jeszcze okrytym śniegiem, ślady kroków we wszystkich kierunkach... Jednak żadne się nie schodzą... Czyżby nikt przechodząc obok drugiego nie podał mu dłoni? Może też nawet na niego nie spojrzął? Czyżby każdy żył tutaj dla siebie?

Na tle kiosku odcina się kilka wielkich tytułów: „Johannesburg we krwi i ogniu”. „Rozkaz Moskwy w Kapsztadzie”. „Taiwan zmiażdżony przez pekińskie oddziały”... Pasterz blednie i siada na chodniku. Gdy mija pierwszy szok zwraca się do mnie:

- To nie robi na tobie wrażenia?

- Wiesz, w końcu człowiek się przyzwyczaja. Pewnie nie oglądasz za często telewizji!... Ale Bóg, On ma to gdzieś! Dlaczego na to pozwala? Albo jest dobry, albo nie istnieje!

- Nie istniałbyś, gdyby ci nie dał udziału w swej dobroci!

Raptownie wybuchnąłem. Myślałem, że sprowokowany odpowie z taką samą gwałtownością. Zaczął płakać... po długiej chwili:

- Jeśli ty jesteś czasami wstrząśnięty, to wyobrażasz sobie, co to może znaczyć dla Boga? Twoje serce jest podobne do Jego serca. Rozpacz matki na widok zabijających się dzieci - pomnóż ją przez sto tysięcy, a zaczniesz się domyślać...

- Ale czy Bóg nie mógłby zapobiec takiej ilości zła? A przynajmniej ograniczyć spustoszenie!

- Jak chcesz, żeby to zrobił? Jego sytuacja nie jest taka prosta! Gdyby wkroczył bezpośrednio, wysyłając legiony aniołów, oskarżono by Go o niedopuszczalną ingerencję. Postaw się na Jego miejscu! Bóg nic nie może zrobić, nie przechodząc przez twoje serce. I żeby go dotknąć, dał to, co kocha najbardziej na świecie, by miłość stała się znów możliwa! Co jeszcze mógł zrobić? Powiedz mi, a zaraz to zrobi! Powiedz mi! Powiedz!

- Odebrać nam wolność!

- Czy można kochać nie będąc wolnym?

- Ale po co kochać za cenę nienawiści?

- Dawać - to jest szczęście.

- Czyżby nie było innego szczęścia?

- To nasz sposób bycia szczęśliwym.
- Ale to jest wasze własne szczęście!
- Nie chcieliśmy innego szczęścia dla was.
- Jak je otrzymać?
- Ojciec ukształtował w tobie serce takie jak moje, wraz z tym królewskim darem: móc powiedzieć w wolności: „Kocham cię!”
- ... albo: „Nie kocham cię!”
- Usłyszał to! Słyszysz to nadal!
- Mógł przecież narzucić miłość!
- Miłość... czy można ją wymusić? Twoja Klara, szalała za nią, prawda? A ona była nieczuła, czasem wyniosła. Przyszło by ci na myśl powiedzieć jej z rewolwerem przy sercu: „Pokochaj mnie, bo cię zabiję”?
- Miałbym jej skórę, ale nie serce.
- Serce, nic nie może mu zadać gwałtu. Czego nie robiłeś dla swojej Klary?
- Tysiąc uprzejmości w nadziei, że obudzę jej miłość.
- Postępowałeś tak jak Bóg!
- Po dwóch latach życia wyłącznie dla niej, któregoś ranka dostałem zawiadomienie o ślubie. Byłem tym...

- Już sam nie wie, co wymyślić?
- Wszystko już wymyślił. Przyszedł ofiarować Miłość, ale tak jak biedak, który żebrze o miłość.
- Bóg, dlaczego On jest taki wrażliwy?
- Nie może robić nic innego jak kochać.
- To Jego wina, że tak kocha!
- Jeśli to jest wina, to wybacz ją.
- Jak to? Wybaczyć Bogu? Ale to On daje wybaczenie!
- Ludzie mają żal do Boga. Obwiniają Go o to wszystko, co nie gra... Kto Go broni?... Przypomnij sobie... Zeszłej nocy ... Wybaczenie, które się otrzymuje, trzeba przekazać. A więc odeślij je do źródła: „Wybaczam Ci, Boże to, co dopuszczasz... i to, czego nie rozumiem”.

Mija nas grupa młodych ludzi, z tranzystorem w ręku. Chwytny w locie strzępy informacji: „Ogromne trzęsienie ziemi na Lazurowym Wybrzeżu. Intensywność dziewięć stopni w skali Richtera. Epicentrum w Nicei. Wiele tysięcy osób zaskoczonych w pełni karnawału, poniosło śmierć... Natychmiastowa akcja ratunkowa...”

- To najgorsze, co może być!
- Albo... znak najgorszego: ziemia, która teraz rozpada się na kawałki, dlatego że ludzie nie chcą się dzielić. Tak jakby Bóg nie podzielił się z nimi wszystkim! Jakby Bóg nie powierzył tego wszystkim! Te pęknięcia pogłębiają się z roku na rok. Nikt nie dostaje od nich zawrotu głowy. Lecz Ojciec drży patrząc na nie!
- Dlaczego ziemia i ludzie są wplątani ot tak, w jedną przygodę?
- Gdy się zdarzy, że z powodu nieprawidłowego rozwoju ziemia za bardzo się poruszy, zapominacie, że ona również was nosi, żywi, dzień po

dniu, nigdy się nie skarżąc. Nawet, gdy zadajecie jej gwałt! Komu przyjdzie na myśl aby, zanim oskarży Boga, podziękować Mu za niezmaconą zmienność pór roku, owoce ziemi w tak wielkiej obfitości?

- W takim razie, czemu tyle krajów głoduje?

- To wy nie chcecie się dzielić, marnujecie władze i mienie służąc śmierci. Cała niesłychana energia zużyta na zbrojenia swobodnie by wystarczyła, aby osuszyć wszystkie łąy głodu. A wy zmawiacie się, by obciążyć tym Boga!...

- A więc Bóg nie jest winien złu?

- Jest jego pierwszą ofiarą. Zło boli Go jak nikogo innego!

- Skąd to wiadomo?

Nieznacznie położył rękę na prawym boku, gdzie, jak się domyślałem, nosił sięgającą serca ranę. Jeden gest i wszystko zostało powiedziane. To zło je przeszło!

Trochę dalej dzieci, pełne zapachu, sprzedają świeczki własnej roboty, by pomóc poszkodowanym.

- Jak wiele porywów szlachetności, dzielenia się z innymi wzbudzi w świecie ta katastrofa! Solidarność ludzka mocniejsza niż solidarność z kosmosem. Co za zwycięstwo, ten sztorm miłości!

Był jakby z tego dumny.

Przechodząc przez miejski park, kogo widzimy?

Na wózku pchanym przez przyjaciela młody chłopak, który w Zawiejach słuchał fletu: Franciszek. Pasterz daje mi znak: tylko mnie nie zdradź!

- Ach! To ty! Od tak dawna chciałem cię zobaczyć! Często śpiewałem: „Przyjdźcie do Niego”. Ale teraz kiedy śpiewam, myślę, o kimś... Tak, o kimś, kogo zacząłem kochać... Ach! powiedz, Jezus, kim On dla ciebie jest?

Jezua uśmiecha się tylko.

- Skąd tak wracasz?

- Z Rzymu, wyobraź sobie!

- Co?

- Pomyśl tylko: Było nas kilkaset tysięcy młodych z całego świata. Wszyscy z powodu Chrystusa. Widziałem Kościół jutra! Wielkie święto dzieci przebaczenia. Pomyśl: jeden lud, który wielbi, kocha, śpiewa i tańczy: dzieci i starcy, upośledzeni i zdrowi, studenci, biskupi, robotnicy! Wszyscy twymi braćmi! I pośrodku Jezus, który przechodzi, uzdrawia, kocha i jest szczęśliwy. Trochę nieba na ziemi. Przyjedziesz w przyszłym roku, powiedz? Widziałem jak paralitycy zaczęli chodzić, po latach. Słyszałem niewidomą starą kobietę: „Widzę! Ja widzę!” Trzymałem w ramionach małe dziecko, chore przedtem na białaczkę, a teraz zdrowe. I inni, wielu innych! Jakie to było piękne!

- Tak, ale ty, ty nie zostałeś uzdrowiony!

- Zrozumiałem, że Bóg mnie kocha takim, jakim jestem. Widzisz, odkąd się znamy, Jezus i ja, wolę z Nim siedzieć na wózku, niż bez Niego skakać po łące. Moja mała praca, to czynić ludzi szczęśliwymi, dawać

uśmiech, stawiać pytania po prostu przez moją radość, pomóc im zrozumieć, że jest coś oprócz forsy. Można kochać inaczej, być szczęśliwym inaczej... W barze będę mówił o Lourdes. Jeśli nie rozumieją, to trudno. To przyjdzie później, kiedy wyjadę, to już niedługo... nie mam już za wiele czasu u nas w miasteczku.

- Chcesz pójść do nieba, żeby już nie cierpieć?

- O nie! Tu jestem z Nim i tam będę z Nim. To jest to samo. Czasem jednak chciałbym poznać kolor oczu naszego Jezusa!

Przechodzi grupa turystów uzbrojonych w aparaty fotograficzne. Jeden z nich rzuca:

- Po co zostawiać przy życiu dzieciaki, które się rodzą takie jak ten?

Na to Franciszek:

- Upośledzeni serca to oni.

To on zaproponował modlitwę. (Uff! nie ja jeden będę wysuwał tak dziwaczne propozycje!) Pasterz wziął moją prawą rękę i położył ją na głowie Franciszka. Był pogrążony w gorącej modlitwie. Uchwyciłem parę okruchów:

- O Ty, Boże czułości, spójrz na zaufanie, jakie okazuje Ci nasz mały brat. Posłuż się nim, aby uzdrowić wielu innych.

- Po raz ostatni zagraj dla mnie moją ulubioną piosenkę: „Możesz narodzić się na nowo...” To śpiewaliśmy na moją Pierwszą Komunię.

Palce Pasterza z radością tańczyły na flecie, a Franciszek śpiewał. Chciał klaskać, ale już nie mógł... Było to tak, jakby znów świeża woda orzeźwiła jego dziecięcą twarz. Jakże byli do siebie podobni, on i mój Pasterz! Musieli zawsze żyć razem.

Kiedy się rozstaliśmy, Pasterz powiedział mi:

- Tutaj on jest moją pieśnią, nawet jeśli nikt nie słucha... Póki będzie rozbrzmiewać w zaułkach, nie zgaśnie nadzieja w Zawiejach. Ale te nuty słyszy się dopiero wtedy, gdy zgasną...

Zrozumiałem wówczas, dlaczego Zawieje były miasteczkiem niepodobnym do żadnego innego. Miały mieszkańca niepodobnego do innych.

Zbliżaliśmy się do ulicy, na której mieszkał Henryk. Bałem się, że go spotkam.

- Przebaczenie, które mu ofiarowałeś zeszłej nocy, powinieneś wyrazić. Twoje życie musi stać się do tego stopnia prawdziwe.

- Ale gdy go zobaczę, żal tak długo gromadzony może wybuchnąć!

- Czy nie uleczyłem cię z tego jadu?

Zadzwoiłem do drzwi: oby go tylko nie było! Jednak otworzył. Nie poznał mnie. Ile to już czasu!

- To ja, Emanuel. Wiesz... nie mam już do ciebie żalu. To jest skończone. Zapomniane!

Chciałem powiedzieć mu o mamie, ale już wpadliśmy sobie w ramiona. Chciał mnie zatrzymać na noc...

Czekają na nas gdzie indziej...

Uczniowie ociągali się, przyklejeni do witryn, gdzie programy telewizyjne prześcigały się w obleśnych ujęciach, w scenach pełnych gwałtu, we wstrząsających wiadomościach...

- Och, te zatrute źródła! Tyle błota i krwi! Oczy, stworzone by widzieć twarz mego Ojca, kto je uzdrowi?

Pomyślałem sobie: „Szybko opuścić miasto! Trzeba, żeby się trochę uodpornił, zanim tu wrócimy! On naprawdę nie jest dość uzbrojony na życie!”

Rozległy się dzwony. Już południe?

- Przepraszam cię, Emanuelu, potrzebuję odpoczynku, ale zrobię, jak zechcesz. To ty się liczysz!

- Nie, to Ty!

- A więc, czy chciałbyś się ze mną pomodlić?

Długo musieliśmy szukać otwartego kościoła...

- Dom - nasz! - zamknięty dla swoich dzieci!

Rojna dzielnica. Uliczka ciemna, wąska. Sex-shopy z przodu, z tyłu, z prawej, z lewej.

- Gdyby korzystający z nich wiedzieli, jaką krzywdę czynią Miłości! Bawiąc się miłością, stają się niezdolni do tego, by kochać, a więc niezdolni do szczęścia. Co za marnotrawstwo środków..

- Jakich środków?

- Majątku powierzonego przez Ojca: życia do przekazania razem z Nim! Ciała dzieci Bożych, stworzone dla mojego Ciała Chwalebego.

Na chodniku dziewczyny, chłopcy o wygasłym spojrzeniu, zniszczonych twarzach. Jedna z nich rzuca nam - tylko dwieście franków! - Pasterz ogarnia ją spojrzeniem, czystym jak źródło:

- Jakże potrzebujesz dzielić się miłością godną twego serca! Nie jesteś stworzona do małych, skarlałych miłostek... Jesteś stworzona do miłości wielkiej i silnej, która przetrwa na zawsze. Jesteś do niej zdolna. Jesteś większa, piękniejsza niż myślisz. Czemu dawać sobą gardzić, czemu pozwalać, by tak szybko przyszła starość?

Spuściła oczy w milczeniu. Czułem, że jest poruszona. Coś się rodziło. Po raz pierwszy musiała czuć się jedyna na świecie. Spojrzała ze smutkiem i odezwała się, zagadkowo:

- Wiem, że w tym domu jest ktoś, kto na mnie czeka i na kogo pewnego dnia będę mogła liczyć... Ale jeszcze jest za wcześnie, próg jest trudny do przejścia. I jednym gestem wskazała okno, za którym widniała duża pusta przestrzeń. W głębi, małe połączone drzwi w ścianie, które rozświetlał nieśmiały czerwony płomyk. Trzech młodych ludzi trwało przed nimi nieruchomo. Odcięty od świata dom, inny niż pozostałe?

Niechący nastąpiliśmy na elektroniczny przycisk.

Dwie ściany rozwarły się. Zaproszenie do wejścia. Osłupienie! Kościół! Od dziesięciu lat bałem się postawić w nim nogę. Tutaj - dziwne - czułem się dobrze.

Zgiełk ulicy dobiega z bardzo daleka. Wszystko jest spokojne. Wrażenie zamieszkanego domu. Trwamy dobrą chwilę w ciszy. Z prawej strony reflektor - gdzie go umieścili? - stopniowo czyni ścianę przezroczyłą. Pojawiają się na niej niebieskie i czerwone plamy. Trzeba

paru minut, by zrozumieć: to zapewne słońce, wznosząc się ponad wysokie domy ulicy, oświetla witraż. Dziwne rysunki o szarych liniach przybierają postać mężczyzny powstającego spod betonowej płyty. W blasku światła.

- Żeby to odczytać, potrzebne jest z jednej strony słońce i ty w środku. Gdy wejdiesz do mojego Kościoła, uchwycisz to, co ci się wydaje niezrozumiałe.

W głębi mała grupa, skupiona wokół czegoś przypominającego misę. Kambodżanin - ma może siedemnaście, może osiemnaście lat - pochyla się nad nią głęboko. Ksiądz z Afryki, o pięknej i poważnej twarzy, powoli oblewa mu głowę strumieniem wody. Chłopiec podnosi się - twarz ma jakby przepojoną i wodą, i radością. Twarz naznaczoną okrutną kalwarią jego narodu. Jak wiele widział rzeczy strasznych! Intonuje: „Przyszedłem dać Życie!” Jeden z obecnych mówi do nas po cichu - Stracił całą swoją rodzinę!

Pasterz zwraca się do mnie:

- Jest teraz twoim bratem krwi i miłości. Jesteś jego rodziną.

Dołączam do grupy i całuję go tak jak inni. Jakbyśmy się znali od zawsze. Nigdy nie będzie dla mnie obcym.

Przy wyjściu z kościoła siedzi włóczęga z tabliczką: „imigrant, bez pracy”. Jezua siada u jego boku, podaje mu kanapkę przygotowaną rano przez Miriam i długo rozmawiają. Tak jakby się dobrze znali. Na koniec Jezua mówi:

- Przepraszam, że nie mogę ci niczego dać.

- Och, przecież dałeś mi więcej niż ktokolwiek. Dałeś mi to, czego nigdy nikt mi nie daje: czas, uśmiech, zwykłą obecność. Dobrze jest czuć, że się dla kogoś coś znaczą. Że jest się kimś.

- Ty nie jesteś kimś. Ty jesteś Amdullah: kochany przez Boga. Dla Niego jesteś bardzo ważny.

Czyżby szefowie show-businessu zmówili się w te dni? Miasto było oklejone afiszami: napisy i dekoracje panoramiczne, czasem niewiarygodne. Zdania i obrazy przepływały przeze mnie jak baloniki komiksów.. „Wybacz, Panie”... po to, by sprzedać makaroni! - „Kto mnie miłuje, niech idzie za mną!” ... po to, by sprzedać dżinsy. Trochę dalej głośniki ogromnej wyprzedarzy bębniły „Alleluja” by zachwalić lodówki, „Kyrie elejson” na przetargu, by wcisnąć kolejne perfumy... W innym miejscu naga kobieta na krzyżu, zgniły trup wyłaniający się z grobu... Bożonarodzeniowy żłóbek z kurczakiem zamiast dziecka... krzyże, różańce na zniekształconych i odrażających postaciach...

Rzeczy te, które wczoraj by mnie bawiły, teraz raniły mnie głęboko.

- Ponieważ nie można Cię sprzedać, bezcześnie się Twoje słowo, Twoją twarz, Twoją Matkę, Twoją myśl, Twoją miłość...

- Chcą mnie wyrwać dzieciom, ubogim, małym! Gdy usłyszą te błogosławione słowa, które przywodziły do płaczu lub tańca całe pokolenia, słowa, które koją i wskrzeszają, będą myśleć o dżinsach, tyłkach, langustach...

- Czy trzeba protestować?

- Nie, świadczyć.

- Oskarżać?
- Nie, zwiastować.
- Czy ostatnie słowo będzie miała prawda?
- Bez prawdy życie jest nocą.

Od pewnej chwili zdawał się być gdzie indziej.

- Chciałbym cię wszędzie zaprowadzić. Do szpitali psychiatrycznych. Większość choruje tam po prostu dlatego, że nie jest kochana. Uleczyć ich będzie mogła tylko pełna miłości modlitwa. A lokale, gdzie uprawia się miłość bez miłości! A szkoły, gdzie nie wiadomo już po co, po co żyć. A ogromne więzienia, gdzie można by odkryć prawdziwą wolność! A poprawczaki, gdzie młodzi pogrążają się w samotności! A fabryki, gdzie człowiek jest już tylko numerem uzależnionym od maszyny! A hotele z czterema gwiazdkami, gdzie bogacze zamykają się w rozpacz! A kraje, gdzie uśmiechnięte ubóstwo zmienia się w nędzę, taką, w której liczy się już tylko pieniądz!

Rozmawiał ze mną, lecz Jego wzrok zdawał się być gdzieś daleko, jakby zamieszkały w nim wszystkie te nieszczęścia. Albo raczej jakby On sam zszedł do każdego z tych piekieł.

- Wszyscy czekają na mnie, czekają na ciebie... Musze wyłamać każdą kratę, rozerwać każdy łańcuch...

Chociaż obrazy te raniły Go, nie był zdruzgotany. Miał swój własny sposób patrzenia na te sprawy. Przemierzał Bezdusza tak jakby to było Jego miasto, jak mały książę zwiedzający swoją posiadłość. Nikt Go nie rozpoznawał. Gdyby został rozpoznany, ilu by Go przyjęło? To nie przeszkadzało Mu czuć się u siebie. Z tego, co było piekłem, czynił swoją krainę. I gdzieś opadały kajdany. Była sobota.

Szpital, nad drzwiami napis: „Oddział geriatry”.

- To tyle, co umieralnia. Ludzie niszczą się tu małostkowymi zazdrościami, gdyż nie wiedzą, że ogromna radość czeka u drzwi i już wyciąga ręce. Znam tutaj jedną staruszkę. Chodźmy ją odwiedzić.

Po godzinie czekania portierka ogłosiła sucho: Do pani Michelis, Blok C, drugie piętro, sala 5, łóżko 288!

Była tutaj, w głębi sypialni, gdzie czuć było moczem, naprzeciw okna, wychodzącego na szare podwórze. Patrzyła pustym wzrokiem, nie rozpoznała Go.

- Elżbieto!

Zadrżała:

- Ach, to Ty! Chodź tutaj, niech no Cię ucałuję, mój mały! Żyjesz jeszcze! Pierwszy raz, odkąd tutaj jestem, ktoś mnie zawołał po imieniu! Tak, to wciąż tylko nr 288!

- Nie przejmuj się! Ojciec niedługo przyjdzie cię zabrać. Czeka na ciebie, wiesz! Spotkasz u Niego swojego Wiktora i stamtąd będziesz mogła czuwać nad dziećmi, które nigdy nie przychodzą, bo plaża, wyścigi to ciekawsze!

- Och! Wiedziałam o tym dobrze, ale o śmierci nikt nie ma odwagi ze mną rozmawiać! To tabu!

Zmówili razem różaniec.

- Ilekroć będziesz z Mamą, będę tutaj.

Razem zwrócili się do małego obrazka nad jej łóżkiem: „Zdrowaś Mario, łaski pełna, módl się za nami, teraz i w godzinę śmierci naszej.”

Odmłodziło ją to o trzydzieści lat!

Przechodząc obok supersamu pełnego zapędzonych ludzi westchną:

- Wszystkie te istnienia, przykute do zegarków, zniewolone tysiącem nigdy nie zaspokojonych potrzeb! Jak sprowadzić je z powrotem do serca, z którego zostały wyrwane?

- A Ty, dlaczego nie pójdziesz spotkać każdego tam, gdzie zszedł ze swojej ścieżki?

- Pod warunkiem, że da się odnaleźć...

- Nie sprawiłoby Ci to trudności!

- Ostatecznie my (ileż w tym „my” było czułości!), my obraliśmy inną taktykę. Cały kłopot - podejść do was tak, byście nie wpadli w panikę. Powiedzieliśmy sobie: „Rozważniej jest przyjść przez braci”. A poza tym byłem smutny, nie mogąc z nikim dzielić szczęścia, jakim jest sprowadzenie człowieka na ścieżkę jego serca. Wtedy Ojciec powiedział mi: „Słuchaj, niedobrze Ci być samemu. Wolę wysłać was po dwóch. On będzie Ciebie zwiastował, podczas gdy Ty będziesz się modlił”.

- Do czego zmierzasz?

- Jesteśmy ze sobą związani.

- I co z tego?

- Czy zechcesz użyzyć mi twych oczu, abym mógł widzieć mych braci? Twych uszu, bym mógł usłyszeć ich wołanie? Twych rąk, bym opatrzył ich rany i twego serca, bym mógł ich kochać takimi, jacy są?

- Potrzebujesz mnie?

- Oddasz się bez reszty. Ojciec i ja nie potrafimy rachować... Pójdziesz jak baranek między psy strzegące bramy. Poprzez kraty, głośnij niż ich ujadanie, wykrzykniesz: „Otwórzcie ogród tym, którzy go nie mają! Dajcie wasze kwiaty! Pozwólcie, by biedni zebrali grona, które spadają z winorośli! Zdejmijcie zasuwę z waszych drzwi! Wyrwijcie żaluzje! Słońce wstaje! A Królestwo stanie się waszym mieszkaniem!” Wówczas twoje przejście będzie jak pocałunek światła.

Wychodząc z miasta idziemy wzdłuż cmentarza. Kończy się pogrzeb. Ksiądz odklepuje w pośpiechu modlitwy. Słyszę Pasterza: „Kyrie eleison! Zmiłuj się! Zmiłuj się!”

- Kiedyś, w mojej krainie, wpierw nim obudziłem jedną małą dziewczynkę, ośmieliłem się powiedzieć: ona śpi! Roześmieli mi się w twarz. Ciągłe jest to samo. A przecież w kościołach czyta się, że wyszedłem z grobu...

- Ale oni myślą, że to są słowa, obrazy, ot tylko tak, żeby pocieszyć.

- To nie ludzie umierają, to zabijana jest nadzieja. Biedna mała nadzieja, kto w końcu weźmie ją za rękę i sprawi, że zatańczy we wszystkich kościołach, na wszystkich placach miasta?

- To wszystko robi strach!

- Małe dziecko uśmiecha się, gdy zasypia w ramionach, które długo na nie czekały.

- Ale śmierć to duża czarna dziura!
- To ramiona Ojca!
- To betonowy mur.
- Zrobiłem w nim przejście, które nigdy już się nie zamknie.
- To w Twoim sercu?
- To samo.
- A więc śmierć, ona już nie istnieje?
- Pies, drzewo, a nawet gwiazda umierają. Twoje serce nie może umrzeć. Życie! Życie! Życie! Jesteś do niego stworzony! Nie takie jak z kropłomierza, ale życie, którego nic nie może stłumić.

- Życie... co to jest?

- Jest nim... Ten, który do ciebie mówi. (Zob. J 9,37)

Staliśmy jeszcze przed wejściem, gdy podszedł do nas ksiądz o strapionej twarzy. Widzę go jeszcze, przejętego do głębi, gdy Pasterz upadając na kolana prosi:

- Ojcze, daj mi swoje błogosławieństwo!

Coś podobnego nie spotkało go pewnie od lat! Był jeszcze bardziej zdumiony, gdy Jezua w ułamku sekundy ucałował mu stopy, tak jak w przeddzień bratu Beduinowi.

Patrzył jak się oddala, z trudnym do określenia pomieszaniem szacunku i czułości.

- Znasz go?

- To on ma dawać Chleb, bez którego nasz świat umarłby z zimna, pozwalać, by płynęło przebaczenie, bez którego umarłby ze smutku. To on ma wylewać balsam na rany świata, chorego na śmiertelny brak miłości. To on ma przyjmować każde narodziny jak kwiat dla Boga, ofiarowywać każdą śmierć jak narodziny do życia.

- Ale to raczej Ty powinienes go pobłogosławić!

- Och! Chciałbym go błogosławić, ilekroć mówi o Ojcu dzieciom, ilekroć znajduje dziecięce słowa, by objawiać Królestwo tym, którzy uważają się za dorosłych.

- Nie widziałeś chyba, jak odwalił ten pogrzeb!

- To ubogi. Dlatego właśnie go kocham. Sam jest zraniony. Ale mimo tego, by pojednać świat z Bogiem i ludzi między sobą, Ojciec znajduje w końcu szczeliny, poprzez które płynie Jego czułość. Gdy mnie już nie będziesz widział...

- Och!...

- Gdy mnie już nie będziesz widział, będzie ci dawać moją obecność i moje przebaczenie.

Potem jakby chmura okryła Mu czoło:

- Gdyby wiedzieli! Gdyby wiedzieli, jakie szczęście do nich należy!

- Dlaczego żeś nie powiedział swojego imienia? Byłby szczęśliwy, od tak dawna mówi o Tobie! Jak chcesz, żeby się domyślono! Tak bardzo jesteś do nas podobny... przynajmniej wtedy, gdy spuszczasz oczy... Właściwie masz rację, że za bardzo nie przykuwasz nas wzrokiem. Jeśli się nie jest przejrzystym, to boli.

- Bóg nie cierpi rzeczy, które się narzucają. Gdybyśmy się pozwolili zbyt szybko odgadnąć, to już by nie było święta, kiedy otworzą się oczy, przyznaj!

- Bawić się tak w chowanego! Jesteście obydwaj dziećmi, Ty i Twój Ojciec!

- Dlaczego nie? Tak, dziećmi! A nasz Duch jeszcze bardziej: wciąż nieznan, jakby anonimowy... wszędzie obecny...

Zboża

W końcu odetchnęliśmy trochę wsią. Letnie rezydencje, starannie zabarykadowane, ciągnęły się wzdłuż drogi. Przy każdej bramie zły pies. Gdy przechodziliśmy, niektóre szczekały zajadle.

- Strach czyni z człowieka wilka dla braci...

- Strach i pieniądz!

- ... i ogrody stają się więzieniami!

Drżałem, gdy zbliżaliśmy się do kolejnej miejscowości. Mieszkała w niej Sylwia. Rozumiesz? Chciałem zboczyć z drogi, uniknąć tego spotkania, tak oczekiwanego, tak napawającego lękiem!

W Zbożach spotykaliśmy grupę młodych motocyklistów skupioną na placu.

- Czy chcesz ze mną pracować, mały bracie?

(Pierwszy raz nazwał mnie w ten sposób). Chciałem się wykręcić.

- Rzuć się w wodę. Ktoś da ci słowa i przemówi do ich serca. Będę się modlił, by nie zachwiało się zaufanie.

Odszedł na drugi koniec placu. (Zob. Mk 1,35 –39) Siedzieli teraz pod platanami. Nie wiedziałem, jak ich zaczepić. Na szczęście sami zaczęli:

- Co napisałeś na swoim krzyżu?

Było ciemno, kiedy Pasterz mi go dał, nie mogłem odczytać wyrytych liter: „Pocieszajcie, pocieszajcie mój lud! (Zob. Iz 40,1) Zrozumiałem, że właśnie to powinienem w tej chwili robić. Że dzielenie się nową radością to osuszanie łez młodości w żałobie. Czyż nie byli wszyscy ubrani na czarno?

Opowiedziałem im swoją historię. Ani jeden mnie nie wyśmiał. Pytania wybuchały - życie, śmierć, seks... wszystkie te, które aż do Śpiewania mnie nękały. Zaciekawieni, nadeszli pozostali. Pod koniec była nas dobra trzydziestka.

Na koniec zaproponowałem tym, którzy chcieli, żeby się razem pomodlić. Ja, który dawniej wpadałem w popłoch, gdy tylko trzeba było się zmierzyć z najmniejszą grupą! I chwyciło! Wielu pozostało. Nie poznawałem samego siebie, siebie z zahamowaniami! Nie jękałem się już, nie zaciąłem na „t”..., odkąd Pasterz poprosił, żebym powiedział tato do Boga, wybacząc memu ojcu.

Rozstając się ze mną, Gerard rzucił: - My, my zawsze pytamy samych siebie, kim jesteśmy. - Ktoś inny:

- To zabawne, ale twój uśmiech nie jest stąd!

Smutek! Smutek, że pozostawiam ich o głodzie! Kto poprowadzi dalej? Do kogo ich wysłać?

Pasterz podchodzi do mnie:

- Oni, to też moja rodzina. Słyszałeś te pytania, które zawsze się tłumi, a które w końcu mogli wypowiedzieć? Kto jednak da im niezawodną odpowiedź? Jakże są spragnieni!

Zaczepia jednego z nich w koszulce z czarnym napisem: „No future”.

- To nieprawda! Twoja przyszłość to nie nicość! Jutro nie rymuje się już z pustką - jest w twoich rękach. Potrafisz uczynić z niego coś pięknego. Dla miłości nie ma bezrobocia!

Trochę dalej - dzieci grające w kulki na parkingu supermarketu. Mała dziewczynka siedzi na uboczu. Pasterz podchodzi wprost do niej.

- Wiesz, kim jest Jezus ?

Na dźwięk tego imienia dziecko otwiera ogromne oczy, lecz nic nie odpowiada. Nadchodzi matka:

- Nie wiecie tego, ale moja Letycja jest niema!

- Czy nigdy nie prosiła pani Boga, by uzdrowił córkę?

- Nigdy.

- A gdybyśmy razem Go o to poprosili?

- Co? Tutaj? Teraz?

- Ależ to bardzo proste! Bóg, On jest tutaj i wszędzie, gdzie ktoś cierpi.

Potem polecił mi otworzyć książkę. Był to urywek, w którym niemy odzyskiwał mowę, by powiedzieć do swego syna: „A ty, dziecię, będziesz prorokiem Najwyższego...” (Zob. Łk 1,76) Pasterz się modlił. Matka słuchała. Dziecko dziwiło się. Ja patrzyłem. Nakreślił jej znak krzyża na ustach. I Letycja wybuchnęła radosnym śmiechem. Jezua powiedział:

- Alleluja!

Mała powtórzyła:

- Alleluja!

- To jej pierwsze słowo. Będzie zwiastować radość Boga.

Pociągnął mnie za rękaw:

- Chodźmy stąd, szybko...

Zbliżaliśmy się do domu Sylwii na skraju miasta. Żeby tylko nie było starych! Przedstawić jej mojego Pasterza i pozostać w swoim gronie! I oto „Cykada”. Już i nareszcie! Widzę ją, jak osłania róże przed śniegiem i mrozem. Nucę pieśń, którą lubiliśmy. „Odnaleźć w życiu twą obecność, trzymać lampę, która płonie. Zamieszkać tam, gdzie zaufanie, kochać i czuć się kochanym...” Słowa te odnosiliśmy do siebie, teraz wiedziałem już, o kim mówiły. Oby ona również odnalazła Tego, którego obecność będzie zawsze o wiele bardziej realna niż moja. A nawet, jeśli jej lampa nie płonie już dla mnie, niech przyjmie od Niego swój płomień...

Święto! W jednej chwili włącza się drugim głosem. (Dziwne, tak jak w Śpiewaniu wczoraj wieczorem... Gdyby mogła kiedyś stać się podobną do Miriam!)

- Emanuel! Ale się zmieniłeś!

- Sylwia! Przedstawiam ci przyjaciela, spotkanego na drodze, w samą noc Bożego Narodzenia, wyobraź sobie! Zaraz gdy tylko odebrałem twój list z poczty w Zgliszczach.

Pasterz:

- A ja chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś niezbędna. To czy jesteś, czy nie, zmienia dla mnie wszystko. Wszystkie twoje SOS słyszałem. Nie spadły w pustkę.

Można się już było domyślić, że spodziewa się dziecka. Uprzedziłem ją, zanim mi o tym powiedziała:

- Wiesz, wybaczyłem ci to. Nie mam już do ciebie żalu. Wybaczyłem Markowi. Wciąż cię Kocham. Ale inaczej. Nie chcę cię już posiadać, ale ochraniać. I ochraniać życie, które nosisz.

- Nie przejmuj się. Mam zamiar zrobić skrobankę. Nie chcę tego bachora! Popsuje mi młodość. Nie mogłabym przez niego nigdzie się ruszyć. Nie mówiąc już o reakcji rodziny. A poza tym taki dzieciak cholernie dużo kosztuje!

- Och! Błagam cię, zachowaj go! Z miłości! Z miłości do samej siebie! Z miłości do mnie! Zanim to zrobisz z miłości do niego. A wkrótce i miłość do tego, od którego go otrzymałaś.

- Do Marka?

- Do Boga, który w tej właśnie chwili daje mu życie! I który tobie, Sylwio, pozwala dawać życie. Nawet, jeśli nie przyszedł tak, jak Bóg tego pragnie, nie odrzucaj go: od Niego go otrzymujesz!

- Ale ja nie chcę tego bachora!

- Ale to dziecko, ono chce ciebie!

- Nie Kocham go!

- Ty jeszcze nie... ale ono... jego serce już bije dla ciebie, i to do szaleństwa!

- Nie jest mi potrzebny!

- Ty jemu jesteś niezbędna!

- Mam to gdzieś!

- Wszystko co dotyczy ciebie już go obchodzi.

- Ale to tylko embriion!

- Już ktoś. Nie ma drugiego takiego jak on!

- To zupełnie nic!

- Już słyszy, odczuwa, myśli i Kocha - po prostu żyje! Jak ty i ja! Zwróć się do niego „ty”, zamiast go zabijać. Zwróć się do niego jak do takiego jak ty stworzenia, bo poza tobą nie ma schronienia. Powiedz mu: „Do ciebie należy królowanie”, a wtedy twój zamęt ustanie.

- ...

- Jest częścią ciebie. Nie możesz już być bez niego ani on bez ciebie: to byłaby amputacja!

- Nie! banalne wyrwanie zęba!

- Bolesne włamanie do serca.

- Włamanie?

- Nie pozwól, by zadano gwałt twemu sercu! Zadać gwałt twemu sercu, to złamać Serce Boga.

- Co to obchodzi Boga!

- Twój mały już Go poznał. Już liczy na Niego, tak bardzo, jak sam się liczy dla Niego.

- Wpierw spowodowałaś spięcie miłości, nie wyłączaj teraz prądu życia...

Stopniowo jej obrona słabła. Czułem, że jest wstrząśnięta. Jej serce matki, to znaczy dusza dziecka, gdzieś się budziła...

- Sylwio, czy kochasz mnie jeszcze?

- Jesteś wciąż tak samo piękny.

- A więc musisz być szczęśliwa, że moja matka nie usunęła mnie, tak jak chciała.

- Jeszcze jak!

- Widzisz! Nie wiesz, kim może się stać twoje dziecko. Od twojej miłości zależy, czy stanie się kimś wspaniałym.

- A jeśli je usunę... co z nim będzie?

Tutaj zbiła mnie z tropu. Ta tajemnica życia była jeszcze tak dla mnie nowa. Zwróciłem się do Jezuy, który podjął:

- Gdy już istnieje, to na zawsze. Został umieszczony na orbicie życia wiecznego. W każdym razie spotkasz twojego małego w Radościach. Powie ci: „Nie chciałaś mnie u siebie, ale ja chcę cię mieć u Boga, u nas. Odmówiłaś mi życia na ziemi, ja chcę ci dać życie w niebie. Od tak dawna ciebie pragnę! Jesteś wciąż mamą! Wszystko ci wybaczyłem. Łzy, które ukrywałaś, chcę dziś osuszyć...” I będziesz z niego dumna tego dnia.

- No więc czym się przejmować?

Będzie ci także wstyd. Będzie taki piękny w swej wiecznej chwale, ten syn Boga, którego wyrzuciłaś na śmietnik... Chcę oszczędzić ci tej rany.

- Ale te, które to zrobiły nieźle na tym wychodzą!

- To je naznacza na zawsze. Uwierz mi, tylko żebrak miłości może je uzdrowić.

- Jak to, je uzdrowić?

- Mogą teraz prosić o przebaczenie, które leczy, i zrobić dla swych niechcianych pociech to, czego nie potrafiły, nie mogły zrobić przedtem. Nie jest za późno, by je kochać.

- Ale jak?

- Błagając Boga, by je przyjął do swego domu. Rodzić tych, którym odmówiły życia na ziemi, do szczęścia bez granic.

Mogłem tylko dodać:

- Pozwól mi to powiedzieć: będzie twoim rajem. Niech będzie nim od dzisiaj!

Sylwia zaczęła szlochać - łzy miłości do tej malej istoty, będącej jeszcze nią i już kimś innym, otrzymującej wszystko od niej i już będącej kimś do kochania, komu trzeba dać się kochać.

- Ale on nie pozna swojego ojca. Potrzebuje ojca, by być szczęśliwy!

- Ponieważ nie umiałaś, nie mogłaś czekać, by przygotować mu ognisko, trwające w wierności, wzięłaś na siebie jego jutrzejsze cierpienie.

- Co teraz robić? Wszystko jest przesądzone...

- Nigdy nie jest za późno, by dać się spotkać Miłości. Odkryjesz przed nim, że ma Ojca, zawsze uważnego, zawsze obecnego.

Wyszeptała:

- Wybacz! Wybacz!

Pasterz nakreślił jej na czole mały krzyż i poprosił, żeby zrobiła Mu taki sam.

- Kiedyś byłem równie mały jak on. Jesteś już czysta. (Zob. Łk 7,47;J 8,10) Kochaj mnie, kochając twojego małego...

Skłonił się przed nią, by pozdrowić - uczcić? – to dziecko. Tak jakby, dzięki tajemniczym promieniom, kontemplował poprzez dzisiejszą niewinność jego jutrzejsze piękno. (Kiedyś, w Bejrucie, spotkałem na ulicy księdza, który skłonił się tak przed kobietą oczekującą dziecka.)

Sylwia nic już nie mówiła. Twarz miała odprężoną, spokojną, niemal uśmiechniętą. Powoli rodziła się niewymowna radość.

- Wrócimy za rok o tej samej porze. Z twojego dziecka zrobimy proroka radości!

I jak zawsze praktyczny, obydwoma nogami na ziemi:

- Tymczasem, jeśli jest ci zbyt ciężko, możesz nas spotkać w Żarnowiu. Z góry jesteś tam przyjęta, oczekiwana, zrozumiana, kochana.

Znikła na parę chwil i przyniosła starą gitarę folk, którą u niej zostawiłem z zerwanymi strunami (po co grać? po co śpiewać?). Założyła nowe:

- Zanim moje dziecko zaśpiewa dla Niego, potowarzysz na niej Temu, który ci towarzyszy.

- A ty, Sylwio, nastrój dobrze swoje serce, zanim się zgodzisz zestroić z kimś swoje ciało. By dwa życia były symfonią.

Ale niespodzianka! Sama zaintonowała naszą ulubioną pieśń, do której z miejsca zacząłem przygrywać na gitarze, (nawet ją nastroiła):

Płonać, gdy ogień jest popiołem.

Wyruszyć ku temu, który czeka.

Zgodzić się dawać, nie odbierać.

Świętować razem powrót dziecka.

- Sylwio, twoje dziecko czeka na ciebie... A my, wielu innych na nas czeka. Nadeszła godzina, by wyruszyć i świętować powrót Miłości.

Nie chcieliśmy zmącić powrotu do małego źródła, które w niej biło. Po cichu wyszliśmy z ogrodu. Ruszając w drogę, Pasterz rzucił jeszcze:

- Te niewinne istoty uczenie mordowane... Ojciec przyjmuje każdą z nich, mówiąc sobie: „Ten mały nie miał swojej części życia!”

- Za każdym razem jest zawiedziony?

I to jak! Dla każdego coś wymarzył. Widzi już ich świętymi, takimi jak Franciszek, Teresa, Karol i tylu innych, których spotkasz.

- Moja Sylwia rodzi się znów do życia!

- Jeśli mały żyje, to również dzięki dziesięciu osobom, które od tygodnia zmieniają się by czuć, modlić się, pościć. Będzie dzieckiem ich miłości. W niebie Sylwia dowie się o tym, zobaczy to.

Pod wieczór odnaleźliśmy uśmiechniętą okolicę - spokojne zbocza, parę topoli szczęśliwych czuwaniem nad rzeką. Zapomniałem powiedzieć, że gdy wychodziliśmy z Bezduszy, zdarzyła się dziwna rzecz. Prawdę mówiąc nie wiem, czy o tym mówić... Wybacz mi, że się cofnę.

Przechodząc koło jednego domu, Pasterz popchnął furtkę i wszedł. Jakby był u siebie. Mały chłopiec o twarzy nabrzmiałej jak balon, siedział w kucki, przywiązany do ławki. Zamknąłem oczy z przerażenia. Jezua jednak ukląkł koło niego i mówił mu wiele rzeczy, sądząc po głosie bardzo

miłych. Z niezmiernym szacunkiem ucałował go w czoło i nakreślił na nim znak krzyża. Gdy do mnie wrócił, powiedziałem zdziwiony:

- Dlaczego go nie uzdrowiłeś, to przecież nie sprawia Ci trudności?

Pogrążony wewnątrz siebie, zapewne modląc się jeszcze przy małym chorym, nic nie odpowiedział. Po dobrej godzinie, tak jakby moje pytanie przebyło tajemniczą przestrzeń, odezwał się:

- Prawdziwe oblicze świata to on. Jego oblicze nieznane. Wszystko inne jest tylko odwrotną stroną. Ludzie widzą zawsze odwrotną stronę. Wstydzą się. Boją. Dlatego zamyka się ich, jak dzikie zwierzęta, za wysokimi murami o porządnie pomalowanych fasadach. Wykraczają poza „przyjęte normy”, rozumiesz? Ale to oni odkupują świat. Są naszym Królestwem. Gdzie kończą się kolczaste zarośla, tam, na najdalszej łące, jesteśmy ich skarbem ukrytym, którego nic nie będzie mogło im wyrwać. Ale kto o tym wie? To sekret między nimi a nami. Nie widziałeś, jaki jest piękny? Twoje oczy nie są jeszcze zwrócone ku niebu!

(Pomyślałem sobie:... „Niebo, które jest w Jego oczach!”)

Znów zapadła długa cisza i...

(Dziwne! zapytał o to samo o co ja w Zgliszczach!)

- Czyżby było w ich sercach jakieś światło, łagodniejsze od światła dzisiejszego wieczoru?

W lasku topoli dwa gołębie grzywacze odpowiadały jeden drugiemu, każde zdanie kończąc znakiem zapytania.

- Jakże bym chciał zobaczyć Twojego Ojca, od tak dawna mi o Nim mówisz!

- Ależ widziałeś Go!

- Gdzie? Nie było Go z Miriam, na fermie w Śpiewaniu!

- Przed chwilą, tam, na trawniku...

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ten... głęboko upośledzony?

- To dziecko jest najmniejszym spośród mych braci. Widziałeś go - widziałeś mojego Ojca!

- Twoje słowa są trudne.

- Przetrwają na Życie.

To było coś, co uderzyło mnie już w Zawiejach. Był tam „opętany”, który wciąż tylko powtarzał jak w zachwyceniu: „Jutro będzie pięknie.” Otóż był szczęśliwy jak nikt na świecie, ilekroć Pasterz schodził z gór. Jakaś zmowa między nimi. Jak współnicy szczęścia, które nam umykało, nam, ludziom poważnym, i to nas drażniło.. .Tak jakby pochodząc z tych samych stron czuli się obaj u nas obco... Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć.

Mgła unosiła się -już nie w moich oczach, zacierając kolory życia - nad wzgórzami, rozsiewając wszędzie złote światło wieczoru. Nie można było odgadnąć krajobrazu, który nas czekał. Światło było wszystkim.

Dzień się kończył. Zdziwione drzewa przyglądały się swym rosnącym ceniom. Krok po kroku wchodziliśmy razem w naszą trzecią noc. Wiedział, że jestem jeszcze słaby. Dostosował swój krok do mojego. Od czasu do

czasu siadaliśmy na jakimś pagórku. Skorzystałem z jednego postoju, by dowiedzieć się czegoś więcej o Jego rodzinie.

- Nie masz zdjęcia twoich bliskich?

- Nie, tylko mały obrazek. Może dać jakieś wyobrażenie. Och! bardzo odległe!

Z małej książki, którą mi podarował, wyjął obrazek: trzy postacie ze skrzydłami, siedzące wokół stołu.

- Jak ci się podobają?

- Ich spojrzenia kreślą półkole. Muszą się strasznie kochać. Ale... po Twojej prawej, do kogo się pochylasz?

- Właśnie, to jest mój Ojciec. Nikt nie może Go zobaczyć, z wyjątkiem mnie. Jego widok olśniewa. Można się jednak domyślić, jak wygląda, patrząc na mnie.

- A po twojej lewej, z szeroko otwartymi ramionami?

- Przyjmuje tych, którzy przychodzą.

- Ale kto to jest?

- To serce mego serca. W Nim Ojciec myśli o tobie i kocha cię.

- Ma jakieś imię?

- Miłość.

- On też mieszka w Radościach?

- Nie możemy bez siebie żyć.

- Wygląda zupełnie biednie.

- Jesteśmy wszyscy trzej biedni.

- To dlatego Wasze ręce są otwarte i puste?

- Nie robimy nic oprócz dawania i przyjmowania.

- Ale co wskazuje Twój Ojciec?

- Kielich.

- Mówi coś do Ciebie?

- Pyta mnie, czy chcę wyruszyć. To nasz ostatni wspólny posiłek, tego pamiętnego wieczoru, gdy rozpętała się burza. Długo wymienialiśmy myśli po katastrofie: Co począć?

- Wyglądacie na smutnych, zmartwionych, co w końcu postanowiliście?

- Że tylko ja mogę wyruszyć... W kielichu jest baranek. Ojciec zapytał mnie: „Czy chcesz stać się takim jak on, barankiem wiedzionym na rzeź?”

- Słowem stać się podobnym do owiec, jasne! By one stały się podobne do Ciebie?

- I popatrz, widać już drzewo, do którego mnie przywiążą.

- A to puste miejsce, zaraz z przodu, na kogo czekacie?

- Na ciebie!

- A inni, w takim razie?

- Dla nas (och, sposób w jaki powiedział to „dla nas”) każdy jest jedyny na świecie.

- A jak się tutaj dostać?

- To jest właśnie moja praca: szukać gości, błagać ich, by przyszli.

- U Was jest zawsze niedziela? Jesteście tak dobrze ubrani!

- Sprawujemy mszę miłości...!

Nie rozumiałem, co chciał powiedzieć, ale poczułem, że nie należy więcej nalegać. Przeszliśmy jeszcze kawałek drogi. Przeczuwałem jednak, że to już długo nie potrwa...

- Posłuchaj, mały bracie, mam ci ostatnią rzecz do powiedzenia.

- Ostatnią?

Odgadł pytanie, którego nie śmiałem zadać.

- Dobrze jest dla ciebie moje odejście...

- Och nie! nie mów mi tego, błagam!

- Widzisz, po przejściu ciężkiej operacji, jest się nadal słabym. Trzeba długiej rekonwalescencji. Dopiero po zasadniczej kuracji poważnie chorzy odnajdują radość najprostszych rzeczy: ubierać się samemu, stać bez zawrotów głowy, zrobić parę kroków na dwór, patrzeć w niebo, zerwać kwiat, zobaczyć uśmiech słońca, poczuć łagodny powiew wiatru i po prostu oddychać: tak wiele darów, do których nie miało się prawa. Dla ciebie będzie to radość uczenia się miłości. Spotkałem cię, teraz trzeba żebyś szedł za mną. Tego można nauczyć się z braćmi.

- Mówisz o swojej owczarni na popasie?

- Powierzę cię braciom. Wybrałem ich dla ciebie. Są ubodzy jak ty i to jest właśnie moja rodzina: biedacy, którzy się kochają, aby mnie kochać, i uzdrawiać.

- Piękna jest ta Twoja rodzina!

- Nazywają ją Kościołem.

- Co? Kościół?... To sprawa księży i... forsy.

- Wybacz, to święto, gdzie wszyscy moi przyjaciele są zaproszeni do szczęścia! Bóg rozdaje na nim podarki, przekazując je z rąk do rąk! Przypomina to górski potok!

- Pamiętasz w Śpiewaniu wodę skaczącą po gładkich kamieniach i bawiące się z nią słońce?

- Tak właśnie Miłość dokończy cię uzdrawiać... Teraz ty z kolei będziesz odczuwał ten skurcz serca, tak jak ja, gdy zobaczyłem cię w Zawiejach, jak przechodzisz obojętny na taniec. W obliczu człowieka, który cierpi będziesz cierpieć. Nie będziesz się, mógł oprzeć krzykowi jego rany. Nie będziesz mógł się od niego odwrócić, nie odwracając się do mnie plecami, ani też przejść na drugą stronę ulicy, nie przechodząc obok mnie. Ale czy światło serca, które nigdy nie zostało rozbrojone, płonie?

- Mówiłeś mi, że będę wolny! A teraz, że zawsze będę zależny od innych!

- To wolność godzin, w których mnie kochasz. Ale czy światło serca, które nigdy nie zostało zranione, płonie?

- Tylko być i patrzeć na cierpienie?

- Wraz ze mną uzdrawiać. Recepty już ci dałem: moje Imię, które przepala, mój krzyż w twoich ranach, moje przebaczenie w twoich ustach i wkrótce moje Ciało w twoim ciele.

- A jeśli tego nie zechcą?

- Wówczas będziesz tak jak ja w Zawiejach, w Dolinie Króla, w Zgliszczach. Pójdiesz dalej swoją drogą, zupełnie sam, w smutku. Ale czy światło serca, które nigdy nie zostało opuszczone, płonie? Każdego

poranka dam ci słowo, by pokrzepić strudzonego, jeśli każdego poranka postarasz się usłyszeć mój głos.

Noc już zapadła. Przemierzaliśmy las ciemny od świerków, wznoszących się niczym kandelabry w modlitwie. Wiatr dał w nie jak w organy.

- Wiatrowi Ducha poddasz swe gałęzie i nie będziesz już dobrze wiedział, który z was dwóch modli się i śpiewa. Dwaj razem, jeden ofiarowujący się drugiemu.

Ogromny buk zgubił już wszystkie swoje liście; dzięki temu widać było niebo.

- Jakże stał się ubogi! Oddał wszystko, a przy każdym opadającym liściu jedna gwiazda zaczęła błyszczeć!

Sprawił, że zaczynałem słuchać rzeczy, które mogą być uchwycone tylko w ciszy.

Czyżby zbliżał się Jego wyjazd? Zacząłem się trząść. Okrył mi ramiona ponczem:

- Nie chcę, żeby ci było zimno.

- Już mi przecież dałeś swój różaniec, portret rodzinny, małą książkę! Nic Ci już nie zostało!

- Wszystko, co jest moje, jest twoje.

- A ja, co mogę Ci dać w zamian?

- Nic... i wszystko!

Zmiatając niebo z jednego krańca na drugi mistral nie chciał się uciszyć, a Syriusz rzucał wszystkie swe zielone i pomarańczowe ognie w ślad za Orionem i Plejadami.

- Popatrz! Popatrz tylko! Spróbuj je policzyć!

- W jaki sposób?... W szkole mówiono nam, że w każdej sekundzie miliony słońc wybiegają poza pole widzenia i że trzeba miliardów lat, by ich blask dotknął naszych oczu.

- Tak! Otóż gwiazdy te, które sprawiają, że noce na naszej ziemi są tak bardzo kojące, dzięki którym nie gubisz kierunku... przypominają mi inne gwiazdy. Bardzo bliskie, bardzo swojskie.

- O czym mówisz?

- O aniołach, które cię zaintrygowały wczoraj wieczorem.

(Miałem ochotę uśmiechnąć się na myśl o tych pyzatyach bobasach z różowego gipsu, unoszących się nad marmurami kościołów Południa. I pomyślałem sobie: „Jakże jest naiwny, ten mój mały Pasterz! Jeszcze się w to bawi!”

- To nasi pierwsi przyjaciele. Lubimy wysyłać ich jako zwiastunów światła. Są od was starsi, czynią się najmniejszymi z waszych braci, by wam służyć. Są zachwyceni, że Ojciec ma słabość do ich młodszego rodzeństwa.

- Ale się z nich nabijamy w naszych czasach techniki!

- Gdyby ludzie wiedzieli, jakich horyzontów się pozbawiają, wpatrując się nieustannie w chodniki! A nawet jeśli się jeszcze uda uchwycić skrawek nieba pomiędzy kleszczami betonowych wież, oczy są już zbyt osłabione oślepiającymi neonami: niebo staje się zupełnie czarne, nawet podczas nocy, gdy wieje mistral. Można nie wiedzieć, że ponad drapaczami chmur

jaśniej niebo... Gdyby nie anioły, jakich uśmiechów pozbawione by było życie! Tak jakbyście nie byli dostatecznie zagubieni!

- To znaczy, że można z nimi żyć?

- Ale jak zacząć?

- Zaprosić ich, a przede wszystkim mnie nie opuszczać, gdzie ja jestem, są oni.

Szliśmy w spokoju nocy. Jego jasna twarz rozwidniała drogę. To, co mieliśmy sobie jeszcze do powiedzenia, trzeba było zostawić ciszy. Te dwa dni razem, czy nie było to tyle, co trwanie jednego życia?

Noc trzecia - Żarnowie

Za zakrętem ścieżki, przybita do pnia, tabliczka z wypalonym napisem: Żarnowie. Na gładkiej powierzchni skały Pasterz za pomocą krzemienia pośpiesznie napisał: „Przybysze, pielgrzymi, zawsze gotowi do drogi”.

Czyżby chciał po raz kolejny zaznaczyć swój wyjazd? Jeszcze jeden zakręt i oczom naszym ukazało się stare domostwo. Dochodził z niego wielogłosowy śpiew. Przy każdym kroku stawał się coraz wyraźniejszy:

- Czy tutaj jest ciągle Boże Narodzenie?

- To jest niedzielną noc, noc, w której Ojciec przyszedł obudzić mnie przed- świtem. Noc, kiedy ręce, które widzisz, rzuciły w przestrzeń wszystkie galaktyki. Noc, przedziwna! Takich chwil się nie zapomina. Wzięłem trochę gliny, aby ulepić z niej twoje ciało. Ojciec przez cały czas na mnie patrzył i mówił, co robić, aby ciasto przybrało kształt mojej twarzy. A potem razem tchnęliśmy w nie i nagle zapaliło się dwoje oczu i przejrzałem się w nich. Ojciec się śmiał! Tak jak na widok noworodka, wykrzyknął: „ Jakże jest piękny!” Zwołaliśmy anioły i wszyscy, razem z Adamem, tańczyliśmy.

- To dlatego Twoi bracia tak bardzo lubią tę noc?

- Tego wieczoru Bóg wkrada się do domów, incognito. Gdziekolwiek ogień zaledwie tli się pod popiołem: trzeba rozżarzać węgle.

- I robicie to raz w tygodniu?

- Oh! To wcale nie jest zbyt często! Wichura bardzo szybko gasi płomień serca. Ale kiedy rozbłyśnie on na nowo, wtedy zapala się dziecięca radość. Tak, wtedy jest Boże Narodzenie! Chwila narodzin.

Pomiędzy drzewami widniał murowany budynek. A jeżeli także i te kamienie ociosały ręce Pasterza? Im bardziej myślałem, że wiem o Nim wszystko, tym bardziej coś mi w Nim umykało. Przedstawił mi swoją Matkę, a więc był jednym z nas! Ale dlaczego mówił, że Ją wybrał? Czyżby żył przed Nią? Trzeba by przeniknąć do głębi Jego oczy. Odkąd Jego spojrzenie dawało każdej rzeczy tyle światła?

Po przekroczeniu bramy zobaczyliśmy czekające nas w głębi podwórza wydeptane przez pokolenia schody.

- Iluż nieznanymi nas poprzedziło. Ich życie upłynęło cicho w tym domostwie, nadając twarz kamieniom, krajobrazowi duszę...

W górze, od strony na wpół przykrytego tarasu, oświetlone okna. Widać sylwetki śpiewających. Każdy trzyma w ręku zapaloną świecę. Pasterz daje mi znak, bym tak jak On zdjął sandały. Przemykamy przez uchylone drzwi (na szczęście nie skrzypią!); trzymając palec na ustach prosi mnie, bym Go nie zdradził... Osłupienie! Na szerniałym od dymu stoleci tle portret rodziny Pasterza: trzech aniołowie! Woń kadzidła wypełnia kaplicę.

Brat ubrany na biało promienieje szczęściem. Mówi: „Dla Niego nikt nie jest na zawsze stracony, nikt nie jest za daleko, nikt nie jest zbyt wielką ruiną. Jakież cierniste zarośla przeszkodziłyby Mu, by nas dosięgnąć? Jeśli będzie trzeba, zejdzie nawet do piekła, ale w końcu nas odnajdzie”.

W czasie gdy śpiewa „Chrystus objawi się pośród nas... Bóg pośród nas wzniesie swój namiot...” paru młodych chłopaków, wśród nich jeden Afrykańczyk i dwóch Azjatów, przynosi jęczmienny chleb i kryształowy kielich. Brat w bieli staje za starą chlebową dzieżą.

Nagle nieruchomieję: po jego prawej i lewej stronie dwaj aniołowie z obrazka (z ikony, jak zwykle się mówi). Ta sama postawa, te same ruchy, tylko żywi! Wszyscy trzej zafascynowani małym kielichem, tu, na białym obrusie. I oto zaczyna płonąć ogień, rozsypując tańczące iskry, całe złote, niecierpliwe, jakby w poszukiwaniu drewna, które mogłyby strawić. Nie wiem, czy to płonie kielich dlatego, że aniołowie na niego patrzą, czy też aniołowie jaśnieją, dlatego, że on płonie. Gdzie jest źródło ognia? Kto go rozpalił?

Myśląc że śnię, przecieram oczy (tak jak trzy dni temu, kiedy Pasterz klepnął mnie po ramieniu). Wtem wszystko wraca do poprzedniego stanu, ale mam już inne oczy...

Czy to jest „msza miłości”, o której mówił Pasterz? Żeby się upewnić, odwracam się w prawo, chcę Go zapytać.

Wstrząs! Nie ma Go! Jego miejsce jest puste! Już Go nie ma! Czy skorzystał z mojego oczarowania, żeby spłynąć, nie powiedziawszy do widzenia? Nie! To niemożliwe! Pewnie źle się poczuł i wyszedł odetchnąć. Zapytam Go później, czy widział to samo światło.

Stoimy teraz skupieni wokół małego kielicha. W pewnej chwili człowiek w świetle mówi: „Przekażmy sobie pokój! Bóg ofiarowuje go nam tej nocy, jednym przez drugich. Świat nie może go nam dać. Świat nie będzie mógł nam go zabrać, jeśli przyjmujemy go od Niego”.

Zaczynają się wszyscy całować, ze szczerą i jasną radością, nigdy wcześniej przeze mnie nie widzianą, chyba że wczorajszego wieczoru u Miriam. Pasterz mógłby wrócić chociaż na tę chwilę! Gdyby nie On, nie byłoby mnie tutaj dziś wieczorem. Gdyby nie On, uległbym głodowi, tam, w Zgliszczach, głodowi nieskończoności!

Patrzyłem przez okno, szukając Go rozpaczliwie na tarasie. Nie było nikogo! nikogo!

Mój zawód był okrutny tylko przez chwilę: każda twarz miała coś, niewiedzieć-co z Niego! Jak to powiedzieć? Tak, pewien odblask, pewne podobieństwo. U niektórych były to raczej oczy, u innych usta czy czoło, prawie u wszystkich uśmiech. Miałem chęć każdego z nich nazywać Jezua lub Miriam. Zdawali się tak bardzo szczęśliwi, że jestem z nimi! Tak jakby znali mnie od zawsze. Dowiadując się, jak mi na imię, mówili: „Jesteś dzisiejszego wieczoru Bogiem-z-nami!” A ja myślałem: „To tak jakby nazwali mnie Jezua!” Powróciły mi w pamięci słowa Pasterza: To jest właśnie mój Kościół!

Potem brat przy ołtarzu z oczyma utkwionymi w bochenku chleba zawołał: „To On! To On! To On!”

Podchodził do każdego, kładąc kawałek chleba na wyciągnięte dłonie. Palący żar. Jakim cudem ciało nie zostało zwęglone? Ledwie ośmieliłem się podnieść chleb do ust, gdy w tej samej chwili w mojej piersi zaczęło bić inne serce, przybierając rytm mojego.

Bracia, pochyleni teraz ku ziemi, wsłuchiwali się zapewne tak jak i ja w te przerywane uderzenia. Jak dwa instrumenty muzyczne, które cierpliwie się dostrajają. I mówiłem sobie: „Jak mógłbym kiedykolwiek umrzeć z takim Ogniem w żyłach?”

Patrzyłem na nich - twarze promieniały od wewnątrz. Zapewne było to odbicie ognia, który przed chwilą otrzymali! Ach! Gdyby takie twarze mogły zajaśnieć w naszych wielkich miastach, rozproszyłyby się ich ciemności. Potem zaczęły rozlewać się słowa tak bardzo prawdziwe: „Tak, Jezu, to Ty przywróciłeś mi radość! - Dziękuję, Panie, za Twoje otwarte ramiona! - Ofiarowuję Ci Monikę, którą kocham, bo wołasz ją do siebie i Twoja miłość uprzedziła moją...!”

Chętnie dorzuciłbym coś od siebie, ale chciało mi się przede wszystkim płakać. Wszystko to naraz, tego było prawie za wiele!

Jeden z braci, z gitarą w ręku, zanucił: „Gdybyś znała Dar Boży...” A więc to właśnie było źródłem ich szczęścia!

Wychodząc na taras nie zobaczyłem już ani Jego sandałów, ani kija. Najwyraźniej odszedł! Pożegnanie? Pocałunek braci, którym zostałem powierzony. Chociaż przez cały dzień samo przecucie rozstania z Nim przyprawiało mnie o rozpacz, nie byłem smutny.

Młodzi zaprosili mnie do wielkiej kuchni, gdzie buzował ogień. Było ich około trzydziestki. Brat podsycający płomień - szara połatana suknia, twarz wychudzona, rysy delikatne i regularne, nogi bose, ręce pokaleczone - mówi jakby sam do siebie:

- Kiedy jakieś polano źle się pali, przyciska się je do innego, które płonie radośnie.

Potem widząc mnie:

- Nazywam się Francesco. Zapraszam cię do mojego miasteczka. Niebo schodzi tam do samej ziemi. Nazywają je Asyż.

- A jak tam żyjesz?

- Czasem sam z Bogiem, w zagłębieniach skalnych, czasem z małymi braćmi, wędrując z miasta do miasta. Czasem słuchając ciszy, czasem wykrzykując Słowo. Pustynia dla Boga, droga dla Królestwa. Adorować, pocieszać - pocieszać, adorować: to jest mój rytm miłości. Oddychać, wydychać - wydychać, oddychać...

- Wiesz, to jest mniej więcej to, co przeżyłem w ciągu ostatnich trzech dni. Chciałbym nadal tak żyć. Powiedz, pomożesz mi jak starszy brat?

- A więc nie zatrzymuj nic swojego, abyś mógł otrzymać całego Tego, który dla ciebie oddał siebie całego.

Potem wskazując stojącą za mną młodą dziewczynę:

- Patrz, przyprowadziłem z Asyżu Klarę, wielką przyjaciółkę piękną.

Wyglądała na dwadzieścia lat. Roześmiała się jasno. Zdawało się, że ma za wiele szczęścia. Głos rozbrzmiewał ze wszystkich stron jak wodospad. Podczas posiłku była duszą towarzystwa, tryskała radością. W trakcie rozmowy ujawniła sekret swej wesołości;

- Chciałabym sprawić, by wszyscy stali się szczęśliwi. Jestem tak bardzo szczęśliwa, że gdybym teraz umarła, to myślę, że poszłabym prosto do nieba, bo przecież niebo to wielbienie Boga. A ja już w nim jestem! To musi być to, radość dzieci Bożych!

Teraz ona z kolei przedstawiła mi swojego przyjaciela: inny brat, w białym, wełnianym okryciu. Na piersi wyhaftowane czerwone serce, powyżej krzyż. Łagodność jego spojrzenia! Przenikała na wskroś.

- A ty, skąd pochodzisz?

- Z głębi Hoggaru, gdzie zbudowałem sobie pustelnię z kamieni.., Mały bracie, nie martw się. Gdybyś wiedział, jak bardzo sam byłem zagubiony. Żyłem w rozwiązłości... a potem Jezus wezwał mnie na pustynię, na spotkanie serca z Sercem, które trwało całe życie. Te wszystkie noce u Jego stóp, warto pójść za Nim, by dojść do tego.

- Jak ci na imię?

- Karol.

- A nazwisko?

- Od Jezusa. To nazwisko nas wszystkich, również twoje.

Podeszła do nas mała Normandka w białym welonie, o twarzy budzącej ufność:

- Zawsze szukałam tylko prawdy. Jezus posadził mnie razem z tobą przy stole, gdzie chleb jest gorzki. W twojej nocy krzyczałam: „Zmiłuj się nad nami grzesznymi!” Nad nami, to znaczy nad tobą i nade mną, bo Jezus wszystko mi z góry przebaczył. Ja również byłam bardzo chora. Ale pewnej nocy Bożego Narodzenia spotkał mnie na schodach. Uleczył wszystkie rany mego dzieciństwa. Potem ukrył swoją twarz, aby twoja noc mogła zostać nią oświetlona. Aby wziąć twoją rękę, odebrał mi swoją. Płakałam za ciebie krwawymi łzami, łzami nadziei. To święto, że dotarłeś do tego stołu, pełnego światła.

- Kto wie? Gdyby nie ty, może nie byłoby mnie tu dziś wieczorem?

Z kolei Teresa przedstawia mi trójkę swych przyjaciół. Wpierw młody Afrykańczyk, o twarzy naznaczonej licznymi małymi bliznami:

- To Robert. Przybył tu ze szpitala dla trędowatych w Kamerunie.

Jego oczy błyszczą, gdy mówi:

- Chcę być jak kapitan drużyny piłkarskiej! Chcę przez swoje cierpienie pociągnąć innych do nieba i otworzyć im drzwi. Chciałbym uleczyć wszystkich młodych dotkniętych trędem rozpaczy. Przyszedłem tutaj do was do Europy jako pielęgniarz.

(A jeśli to on jest tym młodym trędowatym, o którym opowiadał mi Stefan jadąc do Polski?) Następnie dwóch młodych przyjaciół wypuszczonych po wielu latach z więzienia. Jeden z nich za skok: Jakub, wysoki sportowiec, pełen radości życia. Drugi, za wiarę: Van, o twarzy dziecka. Przybył z Hanoi z pragnieniem znalezienia wszędzie we Francji młodych apostołów miłości.

- Miłość jest niezniszczalnym szczęściem! rzucił ze swym wietnamskim akcentem.

Pod koniec posiłku wrócił z lasu Bernard. Niósł całe naręczce gałązek jodły, by ozdobić kaplicę.

- Chcę, aby wszystko tu było piękne! Piękne dla Boga!

W ten sposób każdy chciał mnie poznać ze swoimi przyjaciółmi. Faktycznie łączyło ich coś mocniejszego niż więzy krwi. A może była to inna krew, o wyższym współczynniku miłości?

Jednak myśli moje wciąż powracały do małego Pasterza, do którego tak bardzo byli podobni! Gdzie mógł być w tej chwili? W domu Miriam czy też pod gołym niebem na jakiejś łące, w poszukiwaniu owcy, która nie chce się dać odnaleźć?

Kto wie jednak, czy któregoś dnia o świcie nie wróci, by mnie ze sobą zabrać... zaprowadzić w końcu do Radości? Nagle bardzo zateśkniłem do tego spotkania. Zaledwie po paru godzinach rozłąki zaczęło mi brakować Jego twarzy, poważnej i wesołej.

Po powrocie do kaplicy, zaskoczenie: na kamiennej płycie posadzki biały flet Pasterza. Rozumiesz? Zostawił mi swój własny flet! Tak jak się podpisuje ostatnią stronę książki! Ale jak grać na nim tak jak On? Jak odnaleźć nuty Jego piosenki? Tej, która sprawia, że dzieci płaczu tańczą, która kołysze dzieci strachu? Tej, która odmładza serca zniszczone, bo zbyt mało kochały? Tej, która zapala oczy wygasłe, bo nikt w nie nigdy nie patrzył?

I oto już od paru dni jestem z tymi młodymi ludźmi. Czas rekonwalescencji po szoku Bożego Narodzenia. Z nimi uczę się żyć. Uczę się kochać, być uznanym, ufać, istnieć. Tutaj czuje się, że jesteście sobie dani. Ich spojrzenie budzi we mnie to, co najlepsze. Uczę się być wobec nich tym, kim jestem. Po prostu. Uczę się odpowiadać za siebie, czuć się odpowiedzialnym za braci. Pracować z uciśzonym sercem. Każdego dnia otrzymujemy inną posługę. Najpierw była to kuchnia. Łukasz, dziewiętnastoletni niewidomy chłopak, nauczył mnie pieczenia chleba.

- Pożyczam ci moje ręce, ty pożyczasz mi swoje oczy!

Wyrabiając ciasto opiewaliśmy kanon: „Chcę widzieć Boga, widzieć Go własnymi oczyma, radość błogosławionych...”

- Ten chleb musi być bardzo piękny, musi wyjść z pieca cały złoty, gdyż jutro jego mały kawałek stanie się Ciałem Boga.

-... Zgłupiałeś?

- Ależ tak, tak! To jest najbardziej niesamowita rewolucja kosmiczna, jaką można sobie wyobrazić, a raczej której nie można pojąć... Trochę tego chleba, który teraz wyrabiamy, stanie się Tym, który swymi rękoma ulepił kosmos.

- W jaki sposób?

- Przez słowo i ręce małego brata, nazywamy go księdzem.

- To jest to, co się stało w wieczór mego przyjazdu?

- Dokładnie!

- A jak się ten ksiądz nazywa?

- Bosco. Jego parafia: młodzi całego świata. Oddaje się im bez reszty. To jego pasja. Jest bardzo czynny w Brasillii.

- A tych czterech chłopaków, którzy nieśli chleb?

- Pierwszy to Savio. Ma czternaście lat. Należy do szkoły życia, gdzie Bosco kształci młodych świadków, i często towarzyszy mu w podróżach.

- Kizito, trzynaście lat, pochodzi z Ugandy. Niedawno został ochrzczony. Słyszałeś jak śpiewał „ Ojczy nasz”? Tak jakby przebiegł go prąd elektryczny. Szczęśliwy jak na weselu!

Antoni trzynastu lat, z Nagasaki, to on zaintonował psalm: „Dzieci Pana, uwielbiajcie Pana!”, i w pewnym momencie rozpostarł ręce w znaku krzyża.

- W końcu Gael w harcerskim mundurku, dwanaście lat. Słyszałeś, jak za każdym razem odpowiadał: „Tak! Amen!”?

Nazajutrz ogród. Odpowiadał za niego Pier-Giorgio. Wysportowany jak nikt. (Pierwsza nagroda w slalomie międzynarodowym). Jednak jego prawdziwą pasją był „czwarty świat” - spędzał noce i dni w barakach Turynu, walcząc o sprawiedliwość społeczną.

Następnego dnia miałem paść kozy razem z Fathim, młodym architektem libańskim. Właśnie wybuch podminowanego samochodu zabił jego najlepszego przyjaciela.

- Nie czujesz nienawiści do tych, którzy go zmasakrowali?

- W huku eksplozji słyszałem głos Jezusa: „Ojcze, przebacz im...”.

Tak więc słowo-błyskawica mojego Pasterza rozchodziło się aż po krańce piekła...

Chciał szybko powrócić do Bejrutu.

- Tam bomby przeszkadzały mi się bawić, ale otworzyły mnie na szczęście modlitwy. Byłem szczęśliwszy tam w naszych małych schronach niż tutaj w spokoju...

Jeśli się już nie zobaczymy, to będziesz wiedział, że oddałem życie za pokój w świecie.

Dobrze było poznać tych młodych z całego świata. Spędzali w Żarnowiu parę dni, tygodni lub miesięcy, żeby nabrać sił zanim wrócą do swojego życia. Każdy otrzymał inne wezwanie i przygotowywał się, aby służyć tam, gdzie Bóg na niego czekał. Bernard pojedzie do Rosji. Klara wyjdzie za mąż i uda się do Oceanii jako pracownik misji, Pier-Giorgio do favelas Sao Paulo.

Tak uczyć się współbrzmieć z tym wszystkim, co przeżywa świat. Ja, który miałem wszystko gdzieś... Teraz nic mi nie jest obojętne. Nikt nie jest rywalem. Nie ma już obcych.

Co mnie najbardziej dziwi: przejrzystość relacji chłopak - dziewczyna. Miłość pełna światła! Jakby przezroczystość. Nigdy bym nie przypuszczał, że to jest możliwe. Czy to był jeden z sekretów ich oddziaływania? Ach! gdyby Sylwia mogła odnaleźć tutaj sens miłości, smak życia! Czy stałoby się to samo?

Przeglądając któregoś dnia parę książek z biblioteki, natrafiłem, wyobraź sobie, na poemat pewnego szaleńca Bożego, Hiszpana, Jana od Krzyża. Ułożył go któregoś wieczoru, kiedy zamknięty w ciemnym lochu usłyszał kochanków śpiewających na ulicy: „Umieram z miłości. Ukochana moja, co mam czynić?” A drugi głos odpowiedział: „A więc umieraj!”

Był sobie pasterz samotny wśród świata,
Nie znał co radość, co wzajemne serce,
Bo choć miłością gorzał ku pasterce,
Tysiąc udręczeń pierś jego przygniata.

Nie płacze, choć się krwawią jego rany,
Ani się skarży na śmiertelne bóle,
Kiedy mu w sercu i pali, i kole,
Płacze, bo od niej czuł się zapomniany.

A tak, gdy o nim wcale nie pamięta
Piękna pasterka, znosi te męczarnie,
Wśród obcych deptać daje się bezkarnie,
Takie nań miłość nałożyła pęta.

Biedny ja! - wola - biedny z tej przyczyny,
Że moją miłość zdeptała tak dumnie,
Że szczęścia ze mną nie chciała ni u mnie,
Miłość mnie karze i dręczy bez winy!

Po długich mękach, na krzyż wbity w ziemię
Wspiął się i na krzyża otwarte ramiona
Kładąc się pasterz - głowę zwiesił, kona!
Lecz z sobą uniósł tej miłości brzemię.

Czy nie uważasz, że to przypomina moją historię?

Tę ostatnią noc, tego sylwestra znaczącego przejście z jednego roku w drugi, spędziliśmy przed Chlebem, który stał się Żarem podczas mszy miłości. Wiem teraz, że to tutaj będę mógł zawsze Go odnaleźć, pozwolić, aby On mnie odnalazł. Patrzeć na Niego, pozwolić, by On na mnie patrzył.

Około północy wpada Jan z Brześcia, cały przejęty:

- Chodźcie! No, chodźcie szybko!

Ciągnie mnie na koniec tarasu. Na przeciwległym wzgórzu, ogromny pożar. Stoimy tak zastygli, niezdolni do wypowiedzenia słowa. Migoczące światła paru wozów strażackich kreślą, rozszalałe, sinusoidalne drogi. Śmiechu warta technika.

Czy nie mówił mi przed kioskiem w Bezduszach: „Świat tonie we krwi i ogniu”?

Jak walczyć z tymi pożarami? Tak jak ci ludzie niewidoczni wśród nocy? Narażając własne życie zapalali nowy ogień, by żarłoczne płomienie nie miały już czego pożreć...

Czy krew Miłości zapłonie dość mocno w naszych żyłach, by zapanować nad pożarem nienawiści?

Zwierzyłem się z tego wszystkiego Janowi, dziwiąc się sam tym, co mówię. Tak jakby Pasterz wzbudził ukryte ziarno, które od zawsze w sobie nosiłem... Odpowiedział mi:

- Kiedy myśli się o tym wszystkim, co w tej chwili gdzieś na świecie płonie, trudno jest zasnąć. Ale w końcu, przecież świt jest już bliski...

Była czwarta nad ranem, kiedy przyszło nam na myśl, aby przenieść na taras inny ogień, ten który płonął niewidzialnie w Chlebie. Poszliśmy za Bosco, z pochodniami w ręku. Mistral wiał jeszcze bardzo gwałtownie. Silny podmuch zgasił prawie wszystkie światła. Na szczęście parę nie zagasłych rozpałiło pozostałe.

- Póki jesteśmy razem, jaka wichura mogłaby zgasić nasz płomień?

Odwracając się kolejno we wszystkie strony świata,
kapłan błogosławił - jeden po drugim - wszystkie ludy ziemi. Wymieniał je po imieniu. Jakby z tego Chleba emanował nie wiem jaki promień laserowy, zdolny uleczyć wszechświat z jego raka. Jakby wypływał z tego wzgórza, aby osiągnąć wszystkich tych, którzy się trudzą, chcąc stawić czoło wiatrom i nawałnicom.

Z nadejściem świtu powrócił spokój. Słysząc było nawet szmer wodospadu w dolinie.

- Tej nocy - powiedziała Klara - rzeki płyną ku Niemu, dla Niego wzbierają soki sosen, ku Niemu rozpościerają się ich ramiona... i nawet łanie klękają prosząc: „Przyjdź, Panie Jezu”! Ziemia kręci się i kręci wokół słońca mówiąc sobie: „Może to już dzisiaj?” A jeżeli tego ranka jeszcze nie nadejdzie, zrobi jedno okrążenie więcej i może jeszcze jedno, ale wie dobrze, że jej bieg w końcu się skończy i że wraz ze wszystkimi słońcami nieba i wszystkimi swymi siostrami planetami spadnie w Jego ogromne ręce. Tak... słuchaj tego szeptu stworzeń, a potem zejź bardzo głęboko drogą twego serca.

Tak więc wyruszyłem ścieżką mojej krainy. Przy źródle nadstawiłem ucha. Żadnej wątpliwości: to był Jego łagodny głos, śpiewny i ciepły, chwilami lekko wibrujący. Czasem cytra, to znów flet, klarnet... I słuchałem, słuchałem...

- Emanuelu, przyjdź! Przyjdź Emanuelu! Przyjdź do Ojca!

I za każdym razem słowa te odbijały się echem w moim sercu, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszałem w Jego ustach moje imię, a potem imię Ojca, tam, w górze, pod niebem Świtania. Powróciły do mnie Jego słowa, kiedy mówił o fontannie w Zawiejach:

„Czasem się jej słucha, czasem się jej już nie słucha. Ale ona, ona nie zapomina śpiewać we dnie, w nocy, zimą, latem; czy myśli się o niej, czy nie. Płynie, płynie nieustannie... Tak właśnie jest z modlitwą, w ogrodzie serca... „

I stało się tak, jakby Jego oczy zapaliły się we mnie. Tak, Jego ogromne oczy zranionego dziecka, zawsze zdziwione, zawsze oczarowane... Oczy jak źródło.

I to już wszystko, co chciałem powiedzieć Ci, Marku, o mojej historii, która stała się święta.

Niech w Tobie również otworzą się Jego oczy...

Wtedy Twoja młodość będzie światłem,

miłością twoje życie,

źródłem twoje serce!

Ostatni świt

P.S. 6 stycznia, godzina 9.30

Ponieważ list ten nie został jeszcze wysłany, szybko chcę Ci opisać wydarzenia ostatnich dni. Niesamowite!

Przedwczoraj ogólne zaskoczenie - przyjechał brat, którego nikt nie oczekiwał. Przywitały go wibrujące Alleluja! Szalom!

- To Natanael! Wraca z Jerozolimy! Jest tam w znanej wspólnocie życia. Jest ich teraz prawie trzy tysiące, rozrzuconych w małych grupach.

- A jak żyją?

- Mają wszystko wspólne. Każdego dnia modlą się w prostocie serca i dzielą posiłek w radości. Dwa razy w tygodniu spotykają się wszyscy razem na modlitwie uwielbienia, słuchaniu nauki starszych i na łamaniu chleba, przepraszam - to słowo z ich żargonu - na mszy. Nie boją się rozgłaszać, że Jezus żyje, i wiele cudów dokonuje się przez ich ręce. Wyobraź sobie, dochodzi już do tego, że ludzie wynoszą chorych na ulice, aby chociaż cień przechodzącego Petrosa dotknął któregoś z nich. Niedawno Jerusalelem-post mówiło o uzdrowieniu Khalila, chromego od urodzenia, który od trzydziestu lat zebrał u bramy Świątyni. Można by mówić bez końca o cudach, jakich Pan tam dokonuje! (Zob. Dz 2,42-47; 3,1-11).

Widząc moje zaintrygowanie literami na plecaku, nakreślonymi czerwonym flamastrem, Natanael wyjaśnił:

- Marana tha! To nasza ulubiona modlitwa. Rodzi się w samym sercu uwielbienia!

- Ale co to właściwie znaczy?

Wyjaśnia, jakby ujawniając mi hasło:

- Przyjdź, Panie Jezu!

- Ale po co Mu się mówi, żeby przyszedł, jeśli On jest tutaj, pośród nas?

- Dlatego, że to obiecał. Już stoi na progu. Puka do drzwi. Przyjdzie jak złodziej. Nasz brat Paulos w liście napisanym z Turcji powtarzał nam to ostatnio: „Noc się posunęła, dzień się przybliżył!” (Zob. Rz 13,12) Tak więc „Marana tha”, to modlitwa pełna światła, rozdzierająca noc.

- Dlaczego mówisz noc?

- To są czasy ostateczne i trudno jest żyć. Świat jest pełen fałszywych proroków, którzy starają się nas zwieść, aby nas wyrwać naszemu Jezusowi. Wszędzie żyją bracia uciemienieni, zmiażdżeni tylko dlatego, że kochają Jezusa.

- Nie mamy już nawet prawa Go kochać?

- To najbardziej wyrotowe przestępstwo przeciwko społeczeństwu. Ci, którzy żyją tak jak On, są torturowani i zabijani. Rządy niektórych państw wpadają w panikę wobec małego dziecka, które się modli. Dobrze wiedzą, że tego szczęścia nie są w stanie mu dać. Więc wrywa się je rodzicom i więzi.

- Biedni!

- Powinieneś powiedzieć: szczęśliwcy! To katów trzeba żałować. To oni są najbardziej zranieni: nie znają prawdy o sobie.

- Jak otworzyć im oczy?

- Ty, ty nie spotkałbyś Jezu, gdyby gdzieś tam jakieś dziecko nie modliło się za ciebie, w głębi kopalni czy lochu. To ich krwi zawdzięczasz światło. Również w ich imieniu wołamy „Marana tha!” Niech próba nie będzie zbyt długa. Niech ich krew uratuje prześladowców!

- Czy to możliwe?

- Widzieliśmy to w Jerozolimie. Jeden z naszych młodych diakonów, Szczepan, został ukamienowany. W tłumie stał pewien młody chłopak, przyglądał i drwił. No, i któregoś dnia, kiedy jechał konno, Pan zwał go na ziemię. Powiedział mu: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz!” Ten, o którym ci mówię, to Paulos. (Zob. Dz 9,1 – 19) Będąc przejazdem w Rzymie przeczytałem w innym z jego listów: „Kto kocha Pana, musi się przygotować na prześladowania!”(Zob. 2 Tm 3.12)

- Wracasz prosto z Jerozolimy?

- Tak, bracia wysyłają mnie do Albanii. Jestem tutaj przelotem. Zaraz ruszam w dalszą drogę.

- Dlaczego Albania?

- To jeden z tych krajów, których ziemia jest czerwona, bo podlewana krwią Jezusa, płynącą w żyłach jego przyjaciół.. .Znaleźli mi tam wejście, ale to jest bardzo ryzykowne.

- Nie boisz się?

- Chcę ufać. Jeśli bracia tam mnie wysyłają, to znaczy, że Jezus tam na mnie czeka.

- Jesteś żonaty?

- Nie. Jezus dał mi taki prezent: poświęcić Mu życie. Zresztą, Jego miłość wystarczy, żeby wypełnić serce na całe życie. No, i w razie prześladowania tak jest łatwiej.

Jego twarz promienieje.

- Przed odjazdem chciałbym, abyś pomodlił się za mnie, żebym się nie złamał. Jesteśmy tacy słabi!

Pochyla się do ziemi, a my błagamy Pana, by mu dał serce męczennika. Słyszę, jak mówi półgłosem: „Panie Jezu, Synu Boga żywego, zmiłuj się nade mną grzesznikiem”

Jak największy skarb, powierzam mu czerwone ponczo i biały flet mojego Pasterza.

Odchodzi jak człowiek, którego kraj jest gdzie indziej. Nie odwraca się. Jego sylwetka niknie w porannej mgle. Długo, długo słyhać jak rozbrzmiewa mały flet... Coś jak piosenka szczęścia.

Błyskawiczny pobyt Natanaela wywołuje łańcuchowe reakcje. Niemalże rewolucję! Wszyscy mówimy sobie: „Przecież to nie Albania jest w największej potrzebie, rozpacz mamy wokół siebie!” I każdy; „Jeśli on jest taki odważny, czemu nie ja?”

Natychmiast zostaje zwołane braterskie spotkanie. Wielkie pytanie: Czy możemy dalej cieszyć się w swoim gronie naszym małym, spokojnym życiem?

Łukasz mówi z właściwym sobie rozsądkiem:

- Światło zgaśnie w rękach temu, kto go nie chce dać drugiemu.

Mikołaj z Berna dodaje z helwecką rozwagą:

- Zaskoczeni przez lawiny lub zwykły brak prądu, ludzie tysiącami umierają z zimna. Stańmy się ratownikami. Wyruszmy, aby ich odnaleźć, przywrócić do życia naszym oddechem, dać im termos mleka z miodem, który ich uratuje.

Jednogłośnie się dołączamy. W niecałe pół godziny zostaje przygotowany plan natychmiastowej pomocy. Wyjazd naznaczony na 6 stycznia o świcie. W żadnym wypadku nikt nie idzie sam! Ryzyko, że sami byśmy się zgubili wśród burzy i nocy. Tworzą się małe grupki - dwu- trzyosobowe. Narodowości mieszane. (Van, Kizito, Robert nieźle odczuwają to zderzenie!) Szybko zostają wyłonieni przewodnicy: Paweł, Francesco i Katarzyna. Dominik, Franciszek-Ksawery i Teresa (trójka z Hiszpanii). Ci mają siłę przebicia!

Będą iść z wioski do wioski, z osady do osady, ze wzgórza na wzgórze. Wszędzie, gdzie rozlegnie się wołanie. Na pewno będą z nich kpić. Nic ich jednak nie zatrzyma. Lekko drżą: czują się tacy słabi! A przecież się niecierpliwiają: świat na nich czeka.

No i stało się! Godzina rodząca tyle obaw, tak upragniona, nadeszła. Tak oczekiwana - teraz przeżywana.

Słyszę bicie dzwonów. Dzwony światła. Dzwony światła. Dzwony światła. Wołanie-przywołanie, przywołanie-wołanie.

Obudziło się we mnie dziecko. Jestem gotowy, by spotkać tego, który jest sam, sam, sam przed swoim flipperem i tonie w strachu. Aby wyrwać go jego nocy. Uczynić z niej noc Bożego Narodzenia, otworzyć jej niebo.

W te dwa ostatnie wieczory ułożyliśmy całą masę piosenek na drogę. Przyszła mi na myśl jedna, pierwsza od trzech lat:

Zgliszczą są śmiercią,
Lecz żar nowy Chlebem.
Cokolwiek czynisz, miłuj i chwal!
Powoli, wiatr nocny wciąż wieje,
Popatrz, na Wschodzie jaśniej słońce.
Nad bezdusznymi miastami,
dziećmi bez ziemi,
dolinami wschodzących zbóż,
Rozbrzmiewa śpiew dnia.